DLA SWOICH

I.

TREŚĆ:

Cena numeru 1 Kor. — W zaborze rosyjskim 1 rb.

KRAKÓW.
NAKŁADEM STEFANA BERNACKIEGO.
1903.

Korespondencye w sprawach redakcyjnych adresować należy do Drukarni Związkowej, Kraków, ul. św. Jana 13.

DRUKARNIA ZWIĄZKOWA W KRAKOWIE
pod zarządem A. Szyjewskiego.



OD REDAKCYI.

FRATRIBUS IN CHRISTO!

Puszczając w świat ten pierwszy zeszyt *Dla swoich,* czynimy to pewno nie bez obawy, ażali sprostać potrafimy w małości sił naszych obowiązkowi, podjętemu z sumienia i serca kapłańsko-obywatelskiego. Długo, bo z górą lat trzy ważyliśmy się nad tym krokiem, rozumiejąc jego niepospolitą miarę — to też myliłby się ten, ktoby wystąpienie nasze chciał pomawiać o nierozwagę.

Po gruntownem rozpatrzeniu wszystkich możliwych *pro* i *contra* zarzutów, po zasięgnięciu zdania ludzi poważnych radą, światłych znajomością praw naszego Kościoła, określających stosunek Biskupów do podwładnego im duchowieństwa, niemniej świadomych doskonale naszego położenia politycznego w drobnych nawet szczegółach, podjęliśmy tę pracę, by rozstrzeloną dotąd działalność na polu odzyskania bytu politycznego i swobód Kościoła w naszej sferze, tak czynną jak i umysłową, zespolić, zogniskować, skrzepić, dając jej końcem wypowiedzenia się — porozumienia — uświadamiania etc. miejsce główne w niniejszem piśmie. Dotąd tkwią nam w pamięci słowa jednego z kapłanów: „Dopóty nie zdobędziemy prawych obrońców Kościoła i Ojczyzny, dopóki ogół nasz nie przejdzie przez ogień, któryby oczyścił go ze zbytniego przywiązania do intratnej posady, a co zatem obawy niełaski Rządu, Konsystorza (w tej mierze!)". Otóż ci, coby chcieli nam czynić zarzut, że działalnością swoją sprowadzimy prześladowania rządowe, niechże wiedzą, jako my goręcej pożądamy tego neronizmu nowożytnego, w którym — prawda — padną jednostki i trzaski naokół polecą, ale odrodzi się ogół, aniżeli oni zmurszałego pokoju, który pewno,

jak z jednej strony daje lojalnym jednostkom *pacem et victum* nietylko *quotidianum*, tak z drugiej bezsprzecznie w otchłań zwątpienia, gorzej, bo upodlenia cały nasz stan kapłański pociąga!

Zresztą uczyńmy obrachunek, i powiedzmy szczerze, co nam daje polityka ugody lat ostatnich? Nie potrzebujemy tu chyba dodawać, że nie mówimy o zyskach osobistych! — co zyskała przez nas, żołnierzy chrystusowych, wykreślana sprawa unitów? co zyskały nasze seminarya? co zyskał nasz Kościół w granicach berła caratu?!

Możeby kto chciał powoływać się na przykład ugodowej polityki Leona XIII. Ale nie nam karłom pełzającym po ziemi równać się z Tym, który prawdziwie stąpał po fluktach polityki ziemskiej jako *lumen in coelo,* mocen mądrością i duchem Chrystusowym, którego *vices gerebat* tu na ziemi. Zbolałe serca nasze widziały jeno ustępstwa Stolicy Apostolskiej — nie bacząc na walki, jakie przed nimi staczała! A gdzież są te walki, uprzedzające nasze ustępstwa? W całej polityce Leona XIII nie masz i cienia słabości — a w naszej czyż choćby sama słabość? a za nic idzie z nią w parze hańba i upodlenie? I być inaczej nie mogło — tam rozprawiał się Leon XIII z głowami koronowanemi, jako ojciec dobry z niesforną dziatwą — mógł więc im czynić choćby i ustępstwa, nam wołają bezustannie *vae victis!* depczą co dla sumień i serc naszych drogie — policzkują codziennie, więc gdy miasto obrony szlachetnej, tchórzliwie uginamy karku dla zachowania, powiedzmy sobie prawdę, doczesności — hańba i upodlenie muszą być udziałem naszym przy stosowaniu polityki ugodowej!

Dalecy jesteśmy od siania nienawiści do nieprzyjaciół naszych, ale stać chcemy tuż przy uczuciach prawdziwej, czynnej miłości Kościoła i Ojczyzny, bo to uczucie Bóg sam wlał w serca nasze. Niemniej zastrzegamy się tu choćby od pozoru chęci wejścia w kolizyę z władzą naszą duchowną terytoryalną lub ogólnemi prawami Kościoła naszego, którego synami i sługami być się wyznajemy i takimi do śmierci pozostać chcemy. Bóg świadkiem szczerości uczuć i intencyi naszych — to też sąd o pracy przez nas podejmowanej — z całą należną obediencyą synowską — namiestnikom Jego poddajemy.

Acz słabi, czujemy się w obowiązku dać inicyatywę tam, gdzie Episkopat sam nie może lub nie chce jej w czyn wprowadzić. Słabemi siły rozpoczynamy tę pracę, mocni jednak ufno-

ścią, że nowy ich zasób obficie czerpać będziemy mogli, z biegiem czasu, z łona tego społeczeństwa, dla którego pracę podejmujemy.

Podnosimy sztandar do walki *pro Christo et Polonia*, nie wątpimy przeto, że wszyscy bez różnicy stanowiska hierarchicznego w szeregach żołnierzy Chrystusa i Ojczyzny zechcą stanąć. A wspólnemi siły i wspólną radą sprawa święta wsparta po właściwych torach potoczy się pomyślnie! My dajemy inicyatywę — rozwój zaś jej pomyślny od ogółu sfery naszej czynimy zależnym! Zrozumieć bo pora już nam, że nie dosyć wołać z psalmistą pańskim w pełności nawet uczuć „*Domine exercituum usque quo Tu non misereberis Jerusalem et urbium Juda quibus iratus es!*“ albo „*Dimitte peccata populi tui Deus et ostende eis viam bonam per quam ambulent*“, — lecz, że z gorącą modlitwą i czyn niemniej płomienny w parze postępować winien.

Nie mienimy się tu mentorami ogółu, bo otwierając szeroko łamy tego pisma dla wszystkich choćby najmniejszych z pośrodka nas, dając możność wypowiedzenia się każdemu, tem samem wzajemnie pouczać się będziemy na drodze do osiągnięcia celów tak drogich sercu naszemu. Niechaj usterki, jakie już to w całości, już to w szczegółach pracy naszej pokazać się mogą, powolnym i wyrozumiałym sądem roztrząsane będą — my za to ze swojej strony nie omieszkamy każdej dobrej rady i wskazówki w szatę rzeczywistości przyoblec. A taką drogą idąc tuszymy, iż w niedługim czasie organ przez nas zapoczątkowany, a którego brak dotychczasowy tak boleśnie w skutkach szczególniej lat ostatnich dał się odczuć, stanie na wysokości swego zadania — odda warte zabiegu usługi tak Kościołowi naszemu jak i Ojczyźnie — co jest, i ma być do końca jedynym jego celem.

Fratres.

NA DOBIE.

(O DZISIEJSZEM STANOWISKU KAPŁANÓW-OBYWATELI).

Znamiennem zjawiskiem chwili obecnej jest czynny prąd narodowy, który, ogarniając coraz szersze koła społeczne, prastare hasła: miłości, pracy, ofiarności na ołtarzu Ojczyzny, w czyn zamienia. Zarówno ci, dla których hasła te odwieczne były drogie i święte, jak i najobojętniejsi, acz z odmiennych stanowisk, z zainteresowaniem śledzą ów powiew, zadając sobie pytanie: Dokąd zmierza i jakie plony przyniesie? Dla jednych wzrost ducha narodowego jest silną podnietą do wytrwałości i wiary w słuszność obrony praw ojczystych, zachętą do czynów, pełnych poświęcenia; dla innych — czemś nowem, wobec zmateryalizowania pojęć — nieznanem, a są i tacy, którzy w przejawach ducha narodowego wyczytują niebezpieczeństwo, grożące ruiną Kościołowi i Ojczyźnie. Mimo różnicy poglądów, zdaniem naszem różnica ta jest tylko pozorną. Albowiem każdy, kto jest Polakiem nie z imienia, lecz z czynu, czyje serce płonie szlachetnym ogniem miłości dla wiary i ziemi rodzinnej, nie może się nie cieszyć, że przy wspólnem ognisku skupiają się wszystkie stany, wszystkie warstwy społeczne. Zjednoczenie sił narodowych pod sztandarem Religii i Ojczyzny nie jest czemś nowem, niesłychanem. Dzieje ojczyste wskazują, że w razie potrzeby, w chwili grozy i niebezpieczeństwa w szeregach obrońców praw i niepodległości znajdowały się wszystkie stany bez względu na pochodzenie i różnice stanowisk społecznych. Jest to dowód przedziwnej siły żywiołowej, tkwiącej w duszy narodu polskiego: wybucha, gdy bezprawie i przemoc gwałt zadają wolności jednostek i mas społecznych, — reaguje na podniety szlachetne, miłując to, co odpowiada ideałom ojczystym. Płonna obawa, aby praca narodowa w kierunku uświadamiania mas,

obrony wiary i języka polskiego, budzenia uczuć patryotycznych, miała zagrażać sprawie kościoła katolickiego.

Kościół św. oddawna jest Męczennicą na Tronie i wraz z Polską umęczony został. Blasku Jego chwały nikt, żadna siła ludzka nie odejmie, bo Duch św. nim rządzi, a mury Jego zabezpieczył Sam Zbawiciel. Powołaniem Tej Oblubienicy Chrystusowej jest — drogą krzyża i cierpień podnosić i uszlachetniać ducha ludzkiego, krzepić przykładem poświęceń słabych i zbolałych, prowadzić lud do wolności, do swobody słowa w odmawianiu macierzystych pacierzy! Tak rozumieli stanowisko Kościoła polskiego wielcy książęta i prawdziwi naśladowcy Boskiego Mistrza — Feliński, Borowski, Wołonczewski, Hryniewiecki, ostatnimi czasy Simon i Zwierowicz.

Dokąd się skryć mają wygnane z gniazd rodzinnych pisklęta, pozbawione strzechy, ofiary i pieśni pobożnych, — jeżeli nie pod skrzydła Matki „cierpiących i prześladowanych" — Kościoła?! Od kogo lud prostaczy wyczekiwać ma prawdy, pociechy, zachęty, by wiary nie sprzedał, Ojczyzny nie zdradził? Kapłan - Polak, więc obywatel kraju — to obraz, na którym spoczywają oczy narodu. Miałżeby on lud swój zdradzić i oddać niewinne jagnięta na pastwę wilkowi? Miałżeby własną ręką wydzierać z serca ludu przywiązanie do wiary, języka i gleby ojczystej? Miałżeby sumienie strofować wierną gromadkę za to, iż z wrogiem walczy o wolność Kościoła i praw ludzkich, że w tej gromadzie pomiędzy pieśniami religijnemi odzywa się niekiedy rzewna skarga: „Boże coś Polskę"? Miałżeby kapłan-Polak lękać się męczeństwa, przekładać ułudne blaski ziemskich godności, próżnych tytułów i odznaczeń nad imię szlachetne i nieskalane, nad zaszczyt nazywania się wiernym Synem Kościoła i Ojczyzny? Odrzucamy od siebie myśl podobną... Wierzymy najmocniej, że większość duchowieństwa polskiego wraz z masą narodu podziela i pielęgnuje w sercu uczucia gorącej miłości dla kraju, dla wszystkiego co polskie, co nasze!

Wprawdzie tu i ówdzie skrzeczą puszczyki lub kryją się w norach tchórze, nie powinno to jednak powstrzymywać ludzi szczerych przekonań, uczciwych obywatelskich zasad od współudziału i współdziałania z ogólnym ruchem narodowym. Praca i poświęcenie kapłana nietylko że nie będzie ze szkodą dla sprawy Kościoła i religii, lecz przeciwnie — będzie „umocnieniem wiernych".

Suknia kapłańska przypomina obowiązek jedności w wierze

świętej i posłuszeństwa względem Najwyższej Głowy — Ojca św.; nie uwalnia atoli kapłana od obowiązku względem rodaków i Polski, której jest dziecięciem i obywatelem!

Kreśląc te skromne uwagi zaznaczamy, że podyktowała nam je miłość wiary św. katolickiej i miłość prześladowanej przez wrogów Ojczyzny. Otwórzcie przeto dla nas rodaków i towarzyszów z pod jednej chorągwi serca Wasze, Kapłani-Polacy, pójdźmy zgodnie ręka w rękę od chaty do chaty, zapalając braci siermiężnej pochodnię prawdy i przywiązania do ideałów narodowych! Więc z Bogiem — do pracy!!

X. Królewiak.

STOSUNEK PAPIEŻA GRZEGORZA XVI DO POLSKI.

Pierwszego czerwca 1846 r. zamknął chwalebne dni swoje papież Grzegórz XVI Świątobliwy w życiu, bo w Watykanie żył jak w celi kamedulskiej, a przed śmiercią wyrzekł: *Voglio morire da fratte* (chce umrzeć jak zakonnik), — sprawiedliwy w rządach, nieugięty w zasadach, niezachwiany w przeciwnościach, bronił dzielnie nauki Kościoła w walce z błędami XIX wieku, jakoteż niepodległości Kościoła z despotyzmem rządzących i z namiętnościami ludu. Potępienie fałszywych teoryi — urządzenie stosunków wyznaniowych w małżeństwach mieszanych — zakaz ohydnego handlu niewolnikami — wzrost misyi zagranicznych i utworzenie nowych biskupstw i wikaryatów — zawarcie konkordatów — obrona prześladowanych katolików w Hiszpanii, Szwajcaryi i Polsce — upokorzenie dumnego samodzierżcy Rosyi Mikołaja I — oto dzieła Grzegorza XVI na polu kościelnem.

W dziejach Kościoła i narodu polskiego pięknemi głoskami zapisane jest imię tego papieża, jako szlachetnego rzecznika jego praw i swobód. Zaraz po swoim wyborze zajął się losem nieszczęśliwej Polski, staczającej wówczas krwawe z carem moskiewskim zapasy, a pobudką do tego był list marszałka sejmu, hr. Władysława Ostrowskiego, zawierający prośbę, by „Ojciec św. raczył pobłogosławić Polakom i przyczynić się do monarchów chrześcijańskich, żeby ich niepodległość uznali“ (list z dnia 1 marca 1831 r.).

Imieniem Grzegorza XVI odpowiedział sekretarz stanu, Bernetti, że „nieszczęściem nie żyjemy w czasach wiary, kiedy głos następcy Chrystusa znaczył wszystko u mocarzy, że jednak papież uczyni wszystko, co tylko będzie możebne, aby zapewnić pomyślność bitnemu i rycerskiemu ludowi, zasługującemu podniosłością ducha religijnego na jaknajwyższą przychylność wspólnego ojca wiernych, i że zamierza pobudzić najrychlej którego z potężnych monarchów katolickich do zajęcia się losem Polski i przedsięwzięcia dzieła przyjaznego pośrednictwa...“

Tymczasem powstanie upadło, z czego skorzystał car Mikołaj I, aby przywieść do skutku swe mściwe i ambitne plany. Jako spadkobierca idei Piotra Wielkiego i Katarzyny II, pragnął on na Wschodzie utworzyć wielkie państwo, sięgające aż do Bosforu, silne jednością religijną, polityczną i plemienną. Lecz na drodze do Stambułu zawadzała Polska, trzeba było tedy zniszczyć jej byt polityczny, odjąć jej resztki swobód i zmienić religię!

Podła ta i nikczemna robota zaczęła się za Katarzyny II, której tajemne podstępy i jawne gwałty oderwały od Kościoła ośm milionów unitów. Za Pawła I i Aleksandra I nastała chwila wypoczynku, dopiero car Mikołaj I podjął na nowo dzieło zniszczenia i już w roku 1828 obalił organizacyę kościoła unickiego, nadaną przez Aleksandra I (w r. 1804) a zatwierdzoną przez papieża Piusa VII, ustanowiwszy natomiast osobne kolegium, które całkowicie od ministra wyznań zależało. Poszły za tem inne bezprawia. Powstanie roku 1831 było dlań pożądanym pozorem do zgnębienia Kościoła i narodu polskiego. Niedosyć, że jednem pociągnięciem pióra zniszczył konstytucyę Królestwa Polskiego, zagwarantowaną traktatem wiedeńskim, że Sybir zapełnił więźniami, a Europę wygnańcami polskimi, że wiele sierot po poległych lub skazańcach kazał wywieść w głąb Rosyi i wychować w prawosławiu; jeszcze tego potrzeba mu było, aby sam papież rzucił na nieszczęśliwy naród duchowną klątwę — szły tedy ciągle noty do Rzymu, oskarżające Polskę o sojusz z rewolucyą socyalistów, a na duchowieństwo całe o nadużywanie religii do celów politycznych i o przewodniczenie w całym ruchu.

„Duchowni wszystkich stopni — oto ustęp z noty podanej papieżowi przez księcia Gagaryna 20 kwietnia 1832 r. — zapominając o świętem posłannictwie swojem, wmieszali się do krwawych czynów i prawie wszędzie stali na czele rewolucyjnych zamachów,

a szalone uniesienie zapędzało ich nieraz na pola bitew, gdzie byli działaczami i ofiarami". (Moskal przypomina obowiązki kapłanów papieżowi!? czy to nie szyderstwo?!).

Jest to wierutnym fałszem — bo duchowieństwo ówczesne polskie z bardzo małymi wyjątkami, nie sprzeniewierzyło się wcale ani powołaniu swemu, ani obowiązkom patryotycznym — Grzegórz XVI czekał wyjaśnień, ale emigracya nasza, zajęta (z bólem serca wyznać należy) urządzaniem klubów i towarzystw, nie uważała za stosowne zawiązać stosunki ze Stolicą Apostolską; wreszcie na ponowne pogróżki i nalegania Rosyi, podsuwającej zdradliwie, że obrona praw tronu jest zarazem religii obroną, wyszła pamiętna encyklika do biskupów polskich (9 czerwca 1832 r.), w której papież ostrzega przed doktrynami przewrotu i słowami pisma św. przypomina obowiązek posłuszeństwa dla władzy. Nie masz tam mowy o potępieniu praw narodu, a tem mniej o nakazaniu bezwzględnego posłuszeństwa z pogwałceniem sumienia; mimo to car polecił szerzyć po kraju opinię, że sam Ojciec św. rzucił klątwę na naród polski za wojnę o niepodległość i kazał ślepo ulegać moskiewskiej władzy. Niestety, wielu krótkowidzących uwierzyło, jakoby Stolica Apostolska pobratała się z ciemięzcami i uprawniła akt bezprawia, a okrzyk oburzenia i boleści wyrwał się z niejednej piersi polskiej. Lecz gdy w Rzymie odkryto podstęp, zasmucił się wielce Grzegórz XVI, i tak w rozmowie z generałem Władysławem Zamojskim, jak w allokucyi z r. 1842 napiętnował obłudę moskiewską.

W rozmowie z generalem Zamojskim wyrzekł papież: „przecież ja Was Polaków nigdy nie potępiłem. Przyznaję się, nie wiedziałem zrazu, o co Wam chodzi, to prawda, ale czyście Wy sami starali się o to w ciągu wojny o niepodległość, by Mię oświecić? Tak, oszukano Mię co do Waszej sprawy. Moi właśni ministrowie, tacy, którym musiałem ufać, dali się również oszukać i wprowadzili Mię w błąd. Bolałem nad Waszemi nieszczęściami; wszelako wyście już byli upadli, wszystko zdawało się być już skończone dla was, trzeba było przynajmniej religię ratować i zasłonić od zagniewanego zwycięscy. Zachwiałem się wobec gróźb; drżałem na samą myśl, że prześladowanie sroższe od poprzednich na wasz kraj się zwali. Ustąpiłem przed wyraźnem wezwaniem; oświadczono Mi, że najprzód wywiozą na Syberyę wszystkich biskupów polskich, jeżeli im nie zalecę uległości. — Pytałem się sam

siebie, coby się stało z waszym nieszczęśliwym narodem, pozbawionym pasterzy i tak oddzielonym odemnie, że głos jego już od dawna do mnie nie dochodził. Osądziłem w sumieniu mojem, że mogę i powinienem, wobec takich niebezpieczeństw, wyrzec kilka słów rezygnacyi do biskupów waszych (ale ich i narodu nigdy nie potępiałem) i przypomnieć im to, co Apostołowie zalecili wiernym i co jest niewzruszoną modłą Kościoła, mianowicie, że jest powinnością chrześcianina słuchać władzy istniejącej, — atoli nie omieszkałem dodać, że w żadnym razie władza nie ma mocy rozkazać czegoś, coby prawom bożym i kościelnym było przeciwne". W allokucyi zaś z 22 lipca 1842 r., tak się papież wyraża: „Na domiar naszych boleści nieprzyjaciele Stolicy św. ze zwykłem sobie i dziedzicznem podstępstwem rozszerzyli wieść między wiernymi, zamieszkującymi owe kraje (polskie), jakobyśmy niepomni na nasz święty urząd pokrywali milczeniem tak wielkie nieszczęścia, jakie ich dotykają, i jakobyśmy opuścili sprawę religii katolickiej. Do tego aż przyszło, żeśmy się stali kamieniem obrazy i zgorszenia dla wielkiej części owczarni Pańskiej, której rządy Bóg nam powierzył, a nawet dla całego Kościoła katolickiego, zbudowanego, jakby na kamieniu twardym, na Tym, który czcigodny urząd nam powierzył — jako Jego następcom".

Nie powstrzymało to Mikołaja od nowych gwałtów, których ofiarą stał się przedewszystkiem Kościół unicki. Wprowadzono do liturgii zwyczaje prawosławne, zniesiono pełen zasług zakon Bazylianów (19 lipca 1832 r.), zamknięto szkoły i seminarya, zamieniono biskupstwa unickie na schyzmatyckie, wreszcie przy pomocy trzech zdrajców biskupów, zwłaszcza przewrotnego Józefa Siemaszki, zniszczono unię w całej Rosyi, z wyjątkiem jednej tylko dyecezyi Chełmskiej, którą na późniejsze czasy zostawiono.

Ciężkie rany zadano także kościołowi łacińskiemu, chociaż Mikołaj w statucie organicznym z 26 lutego 1832 r. (art. 5 i 6) wszystkim katolikom wolność religijną i całość mienia kościelnego zabezpieczył. Już w lutym zniósł ukaz carski 202 klasztory w metropolii mohylewskiej, tak iż ledwie 89 zostawiono. Protest Stolicy Apostolskiej z 26 września 1832 r. pozostał bez skutku. Inny ukaz tegoż roku wydany (10 marca st. stylu) zakazał pod surowemi karami wszelkich stosunków ze Stolicą św., jakoteż przyjmowania i ogłaszania bull i reskryptów papieskich. Jedynym pośrednikiem miała być ambasada rosyjska w Rzymie; aby zaś

prawda tam nie dotarła, nad tem czuwali pilnie wysłannicy carscy, jak książę Gagaryn, hr. Gurieff, Führmann, Błudów i inni W roku 1833 ukaz z 26 sierpnia zabrania małżeństw mieszanych bez poprzedniego przyrzeczenia, że wszystkie dzieci w wierze prawosławnej wychowywane będą, a nawet unieważnia takie małżeństwa mieszane, któreby tylko w obecności proboszcza katolickiego były zawarte. Inny ukaz z tegoż roku odnowił przepisy wydane przez Katarzynę II, że najmniej 100 dymów a 400 dusz należeć musi do jednego kościoła, wskutek czego wiele parafii zwinięto. Oprócz tego zamknięto kościoły sukursalne i kaplice, zakazano budować nowe kościoły lub odnawiać stare.

Aby pomnażać prozelitów, założono w Warszawie, Wilnie i Połocku biskupstwa prawosławne, pobudowano wspaniałe cerkwie, przyrzeczono katolikom skazanym do więzień lub robót katorżnych ułaskawienie, jeżeli przejdą na prawosławie (ukaz z 2 stycznia 1839 r.), pozwolono wchodzić w nowe związki tym kobietom, których mężowie zostali zesłani na Sybir, a taki sam przywilej przyznano księżom łacińskim, jeżeli odpadną od Kościoła. Jako środek do ułatwienia apostazyi miało także służyć zagrabienie majątku kościelnego, ciemnota i zepsucie duchowieństwa, skażenie wychowania publicznego, zniesienie seminaryów, narzucanie takich biskupów, jak n. p. Siestrzeńcewicz lub Pawłowski, wreszcie przekupstwo, podstęp, knut i Sybir. Nie brakło też apostatów, lubo nie brakło i męczenników.

Prześladowanie wciskało się nawet do świątyń i konfesyonałów. I tak ukaz z 28 marca 1836 r. zakazał kapłanom łacińskim przypuszczać do sakramentów św. osoby nieznajome, by w ten sposób odjąć nieszczęśliwym unitom ostatnią pociechę. Podobny ukaz z 20 sierpnia 1839 r. zabronił duchownym łacińskim chrzcić dzieci z mieszanych małżeństw zrodzone i dawać komunię św. tym, którzy raz tylko uczestniczyli w obrzędach prawosławnych. Zakazano także księżom opuszczać parafię bez pozwolenia władz rządowych lub głosić kazania bez poprzedniej cenzury. A biada było tym, którzy nie chcieli poddać się ukazom; nawet X. Gutkowskiego, biskupa podlaskiego, nie minęło wygnanie za to, że śmiał się oprzeć woli carskiej. Ciężka również kara spotykała tych, którzyby porzucili prawosławie (ukaz z 21 marca 1840 roku).

Za każdem takiem bezprawiem protestował Grzegórz XVI. lecz

gdy skargi jego nie odnosiły żadnego skutku, potępił w piorunującej allokucyi z 22 lipca 1842 r. wszystkie zamiary schyzmy, wymierzone przeciw Kościołowi katolickiemu w Polsce, poczem takowe wraz z odnośnymi dokumentami w osobnem *exposé* ogłosił. Wzdrygnęła się opinia europejska, acz katolikom polskim niezbyt przychylna, słysząc o tylu i z takim cynizmem popełnianych gwałtach; tu i owdzie ozwał się głos potępienia, tak że car o sąd opinii dosyć dbały, zaprzestał jawnego prześladowania, lecz tajemne trwało dalej.

W Rzymie zyskiwali Polacy coraz więcej sympatyi. Kiedy w r. 1838 przybyli tamże pierwsi członkowie Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego Hieronim Kajsiewicz i Piotr Semeneńko, pozwolił papież wyświęcić ich na kapłanów (5 grudnia 1841 r.), chociaż ambasador rosyjski, hr. Potemkin, przedstawił ich jako ajentów politycznych i wichrzycieli; za papieża też przyczynieniem się powierzył im rząd francuski pieczę nad kościołem św. Andrzeja i Klaudyusza.

Również mile przyjął w r. 1845 Matkę Mokrynę Mieczysławską, przełożoną mińskiego klasztoru Bazylianek, których cierpienia stanowią jedną z najkrwawszych kart martyrologium polskiego. Nie było zaiste męczarni, którejby nie był użył Siemaszko wraz ze służalcem swoim popem Michajłowiczem, by te wielkoduszne zakonnice zmusić do apostazyi. Krępowano je kajdanami i pędzono pieszo na miejsca odległe, zamykano po klasztorach czernic prawosławnych, nielepszych od furyi, lub wydawano na pastwę rozbestwionych djaków rosyjskich, naganiano do robót ciężkich przy budowie monasterów i pałaców archireja, gdzie biedaczki smagano rózgami, trapiono głodem albo dawano niewymoczone śledzie na pokarm, odmawiając przytem kropli wody, zaszywano je w worki i zanurzano w wodzie; lecz nic nie zdołało złamać ich hartu, ani nawet śmierć, której większa ich część uległa. Matce Mokrynie udało się wyrwać z rąk oprawców i umknąć do Francyi, gdzie takie znalazła współczucie, że biskupi sadowili ją obok siebie na tronie, podczas gdy X. Aleksander Jełowicki opowiadał dzieje jej cierpień.

Przy końcu roku 1845 przybyła do Rzymu, dokąd właśnie nadciągał z Neapolu jej prześladowca Mikołaj, a po dniach kilku udała się do Watykanu w towarzystwie przełożonej zakonnic Serca Jezusowego i księdza Jełowickiego; kardynał Mezzofanti, jako świa-

dom języka polskiego, był także obecny. Po wysłuchaniu z wyraźnem wzruszeniem długiego sprawozdania, zawołał papież: „Siedem lat, siedem lat, i tyle cierpiały, a jam nic nie wiedział. Dziwnaby rzecz była, dodał, gdyby się cesarz w moim przedpokoju spotkał ze swoją ofiarą“.

Rzeczywiście, car Mikołaj postanowił odwiedzić papieża, chcąc zapewne urokiem swojej osoby zatrzeć złe wrażenia swoich ukazów. Zrazu papież był zakłopotany temi odwiedzinami i powtarzał z goryczą: „Czego chce odemnie ten człowiek? czy przybywa urągać we własnym moim domu starości mojej i bezskutecznym moim skargom?“ Zaczął nawet szwankować na zdrowiu, ale modlitwa dodała mu otuchy, a nie mało pokrzepił zacny O. Ryłło S. J., naonczas rektor Propagandy, który przypadając do nóg papieskich rzekł: „Ojcze święty, nigdym Cię o nic nie prosił, choć mię nieraz do tego zachęcałeś, teraz Cię błagam, abyś stanął mocno w obronie Kościoła polskiego wobec jego prześladowcy“.

Nadszedł nareszcie ów dzień, w którym największa potęga materyalna miała się zmierzyć z najwyższą powagą duchowną. Nieznane nam wszystkie szczegóły spotkania, tyle atoli wiemy z późniejszych opowiadań kardynała Actona, który wówczas służył za tłumacza, że Grzegórz XVI przemówił z całą godnością siłą Namiestnika Chrystusowego. W żółtej księdze wydanej w r. 1866 z rozkazu Piusa IX., a zawierającej dokumenta odnoszące się do spraw Królestwa Polskiego, jest ta rozmowa podana w streszczeniu. Mianowicie Grzegórz XVI zaraz na wstępie oświadczył monarsze, że przybycie jego do Rzymu poczytywał za szczególne a łaskawe Opatrzności zrządzenie, że oczy całej Europy zwrócone są na nich obydwóch bacznie, spotykających się teraz w Watykanie, i że sam pewny jest, iż znajdzie nakoniec ulgę w ustawicznych cierpieniach i troskach, jakie sprowadza nań widok opłakanego stanu katolików pod panowaniem rosyjskiem. Przypomniawszy wreszcie cesarzowi, że Stolica Apostolska pragnie, aby był zachowany porządek społeczny pośród jego poddanych, dodał, że jak miał prawo wezwać ich do oddania cesarzowi co jest cesarskiego, tak teraz winien przypomnieć cesarzowi samemu, co jest Boskiego, aby zechciał to uznać i uczcić. Na odpowiedź cesarza, że wspólnie z Jego Świątobliwością wyznaje tę zasadę przez Chrystusa podaną, przedstawił papież cały szereg ukazów wprost

przeciwnych kanonicznym prawom, swobodnemu wyznaniu katolickiej wiary, powadze Kościoła i jego głowy widzialnej, a uczynił to z wyrazem najrzewniejszego użalenia się i boleści; poczem ten wykaz wręczył cesarzowi na wyraźne jego żądanie. Cesarz odszedł z uroczystą obietnicą, że takowy przeczyta i zaspakajającą da odpowiedź; jakoż na drugiem posłuchaniu (17 grudnia) oświadczył, „że uczyni wszystko, co będzie mógł w tej mierze, byle z zachowaniem zasadniczych praw swojego cesarstwa“. Na co Ojciec św. odrzekł, że słowa cesarskie „uczyni wszystko co może“ przyjmuje w całej ich naturalnej rozciągłości, a nie z ograniczeniem wymaganem przez ustawy stanu, a mianowicie rozumie, iż cesarz uczyni wszystko, co wobec Boga rzeczywiście uczynić powinien. *Si parlai da Papa* (mówiłem do niego jak na papieża przystało), — sam nieraz powtarzał.

O. Hieronim Kajsiewicz w Pamiętniku swoim na str. 440 etc. tak ową audyencyę opisuje: „Ze łzami w oczach i głosem wzruszonym zapytał Mikołaja, dlaczego prześladuje Kościół Boży i ciemięży sumienia swoich poddanych; a gdy cesarz odparł, że to były potwarze jego nieprzyjaciół, mianowicie zaś emigrantów polskich, rzekł Ojciec św.: „mam tu zeznanie żyjącego świadka, mógłbym go postawić obok ciebie, ale że jeden świadek nie wystarcza, więc tego nie uczynię. ale oto własne twoje rozporządzenia“. To mówiąc, przesunął mu przed oczyma długi szereg ukazów prześladowczych i ciągnął dalej: „Ty panujesz docześnie nad 60 milionami poddanych, ja mam ich tylko trzy; ale za to mam 200 milionów duchownie podwładnych. Jam ci nic nie zawinił, na żadne prawo twoje nie nastąpił, a patrz jak ty ze mną i z Kościołem katolickim się obchodzisz. Pamiętaj, że jest wyższy Pan i Sędzia nad nami oboma. Śmiertelni jesteśmy; ja starzec, jedną stopą już w grobie, gotuję się rychło być powołanym przed Sąd Najwyższego; ale i ty tam staniesz i będziesz się musiał sprawiać z postępków twoich“.

Cesarz był wyraźnie zmieszany, pierwszy raz w życiu prawdę posłyszał, i prawdę wygłoszoną z powagą. Miał, całując dłoń papieską zapewniać, że o wielu rzeczach nie wie, o wielu jest oszukany, ale że po powrocie do stolicy swojej wyznaczy komisyę i wszelkie nadużycia zbada i naprawi. Wyszedł z posłuchania całkiem zmieniony, jak to opisuje kardynał Wiseman w swoich „Wspomnieniach o czterech ostatnich papieżach“. Wstępując do

Watykanu, miał Mikołaj zwykłą sobie królewską postawę, odznaczającą się majestatem i rycerskością, był pewien siebie, swobodny i uprzejmy; wzrokiem i ruchami rzucał na wszystkie strony pełne gracyi przywitania. Przechodząc długi szereg przedpokojów, był rzeczywiście cesarskim orłem, jaśniejącym i pełnym ognia, o wzroku przeszywającym i skrzydłach żadnym lotem dotąd nie znużonych, o dziobie i szponach, którym nigdy żaden łup nie zdołał się wymknąć. A powrócił z odkrytą głową, z włosami w nieładzie, z wejrzeniem lękliwem, twarzą bladą, tak jakby w przeciągu tej godziny przebył cierpienia długotrwałej febry. Szedł krokiem przyspieszonym, a głowę spuścił ku ziemi, nie spoglądając nigdzie, nie pozdrawiając nikogo. Nie czekał nawet, aż powóz podjedzie pod ganek, lecz wybiegł szybko na podwórzec zewnętrzny, aby jak najprędzej uciec z miejsca, gdzie tak widoczną poniósł klęskę. Był to orzeł ściągnięty z wierzchołka skał, „z gniazda, które założył między gwiazdami“. Skrzydła jego zostały złamane, a wzrok przyćmiony przez tę właśnie potęgę, którą dotąd gardził.

Również godnie znalazł się sekretarz stanu, kardynał Lambruschini. Kiedy z imponującą postawą wszedł do Mikołaja, zawołał tenże: „Panie kardynale, wiem, że jesteś moim wrogiem“. „Nie o to teraz chodzi — odparł kardynał — Wasza Cesarska Mość przyzwała mię celem pomówienia o sprawach Kościoła w jego państwach“; poczem rozłożywszy papiery odczytał, do czego Rosya zobowiązała się traktatami i konkordatami, co posłowie cesarscy w spisanych na razie notach i protokółach obiecywali, a jak to wszystko fakta i ukazy cesarskie obalały.

Czy Mikołaj rzeczywiście wzruszył się przemową papieża, czy też, co prawdziwsza, uznał za stosowne zrobić jakieś pozorne ustępstwo dla złagodzenia oburzonej nieco opinii Europy, dosyć, że przez posła, hr. Błudowa, rozpoczął ze Stolicą św. układy, które dopiero w r. 1847 doprowadziły do zawarcia konkordatu. Tak więc wielkim okazał się Grzegórz XVI w rządach kościoła polskiego.

Zachodzi teraz pytanie, czyż więc Grzegórz XVI nie potępił rewolucyi polskiej? Odpowiedź łatwa, że nie — a słowa jego wyrzeczone do jenerała Zamojskiego niezbitym są dowodem tego twierdzenia. Wrogowie nasi i historycy im przyjaźni chcąc podać w ohydę nam, Polakom, Stolicę Piotrową, to wymyślili, aby zasiać niezgodę i nieporozumienie, co przyznać należy, poniekąd się im

udało. Każdy zaś, rozsądnie i krytycznie rozbierający tę sprawę przyznać musi, że potępienie powstania Listopadowego przez papieża Grzegorza XVI to wierutny fałsz i kłamstwo. Jak konkordat zawarty po śmierci wielkiego Grzegorza przez następcę jego Piusa IX dotrzymanym nie był i jaka obłuda przebijała się i przebija w rządzie i carach moskiewskich, pomówimy o tem, gdy będzie traktat o Piusie IX przyjacielu Polaków. (Z dzieła księdza Biskupa Pelczara p. t. „Pius IX i jego wiek").

przepisał *Skrobek.*

KAPŁANI A SPRAWA NARODOWA.

W pracy niniejszej opierałem się głównie na obserwacyi stosunków w dyecezyi Płockiej. Sądzę jednak, że z tych obserwacyi można wyciągnąć wnioski, obejmujące cały nasz kraj pod zaborem rosyjskim, gdyż ogół duchowieństwa urobiony jest wedle jednej modły. Wywody moje nie są jednak wyczerpujące, gdyż sprawy tej w jednym artykule omówić wszechstronnie i gruntownie niepodobna. Chodzi mi głównie o to, aby zwrócić uwagę naszych kapłanów, iż stanowisko, jakie zajęli względem sprawy narodowej, jest w ogromnej większości fałszywe. Aby łatwiej to uczynić, dzielę kapłanów na trzy działy: *a)* gorliwych, *b)* rzemieślników, *c)* obywateli.

Gorliwym, albo świątobliwym kapłanem nazywają tego, który obok sumiennego wykonywania swoich obowiązków, zajmuje się rozszerzaniem dewocyi pod rozmaitemi formami, otacza się naiwnemi, ale pobożnemi osobami, bawi się z niemi, często z uszczerbkiem prawdziwego pasterzowania, które winno być, jak mówi św. Paweł, „wszystkiem dla wszystkich".

Gorliwości takiej nie mogę nazwać rozumną, prawdziwie wskazaną przez Chrystusa Pana, pożyteczną dla dusz, a tembardziej dla sprawy narodowej.

Prym tu dzierżą tak zwani mistycy. Są to ludzie słabego umysłu, ciasnych pojęć i jednostronnej działalności. Opacznie pojęli swoje obowiązki i dlatego nie można nazwać ich prawdziwymi przewodnikami ludu. W imię źle zrozumianej zasady: „szukajcie przedewszystkiem królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego", starają się wmówić w ludzi, że wszystko na tym świecie, a zatem

i sprawa narodowa — nie warte zabiegów. Wszystko to przecież wobec wieczności jest wierutnem głupstwem. To też dla mistyków niema narodu, ale są ludzie — wszyscy bracia, wszyscy jednacy. Juściż myśl taka jest piękna bardzo i prawdziwie chrześcijańska, bo miłość naprawdę powinna obejmować całą ludzkość i, jeżeli kiedy rozleje się po świecie, to wtenczas nastąpi tryumf idei Chrystusowej. Ale dzisiaj, dla naszych stosunków, takie lekceważenie odrębności narodowej jest nader szkodliwe.

Mistycy jednak, pomiatając ze względów wyższych sprawą narodową, jako rzeczą ziemską, nie zaniedbują innych spraw doczesnych, służących im do życia i wygód doczesnych. Troszczą się o to, coby jedli i pili i w coby się odziewali, a niektórzy z nich pod względem szukania spokoju, ciszy i wygód są daleko gorliwsi, niż niejeden najzwyczajniejszy filister. Obiady ich dalekie są od pożywienia św. Jana, a nawet św. Pawła, piwnice ich i spiżarnie nie świecą pustkami, mieszkania wprawdzie skromne, nawet ubogie, ale wygodne; żaden z nich nie mieszka w lepiance, ani w norze podziemnej; nie chodzi boso, ani nago, ale każdy odziany i obuty, najedzony. Szukają więc nietylko królestwa Bożego, ale rzeczy doczesnych.

Niektórzy z nich tak są zaślepieni w swych formułkach, że nietylko czynem, ale nawet małą ofiarą pieniężną nie chcą pomagać sprawie narodowej. Co bowiem wychodzi po za obręb ich programu mistycznego, nie zasługuje na ich względy. Dowód tego miał jeden kapłan, zbierający ofiary na książki religijne dla unitów. Cel zdaje się szlachetny, wyłącznie religijny; każdy kapłan powinien go popierać. Ale mistycy potępili go. O ile wiem, żaden z nich nic nie dał, odpowiadając, że: „dla kilku unitów nie warto się narażać“. Niedosyć na tem. Za złe mieli owemu kapłanowi mieszanie się do rzeczy „nieswoich“: — „pilnuj lepiej swoich owieczek — mówili — a o unitach nie myśl, bo im nie pomożesz, a siebie zgubisz!“ O ofiarach tedy na cele narodowe mistykowi i wspominać nie warto. Wszelka działalność przeciwrządowa razi go, przejmuje strachem. Każdego narodowca uważa mistyk za bezbożnika, warchoła, na którego dyabeł zagiął parol i chwyta go w swe szpony. To też mistyk nietylko nie poprze sprawy narodowej, ale potępi ją, jako przeciwną pokorze, posłuszeństwu. Mistyk chętnieby się wyrzekł języka, tradycyi, ideałów narodowych, byle tylko Rosya przyjęła wiarę katolicką. Gotów nawet

przyłożyć rękę do zagłady swego narodu, byle przez to rozszerzyło się panowanie kościoła.

Mistycy jednak dalecy są od składania ofiar na ołtarzu nawet Kościoła. Dowód ze składką na książki dla unitów. Modlą się chętnie, długo, zachowują skrupulatnie wszystkie formy i formułki zewnętrzne, są kapłanami gorliwymi, bez zarzutu, ale cierpieć za wiarę nie chcą. Wolą być wyznawcami, niż męczennikami. To też spełniają skrupulatnie wszelkie zlecenia rządu, nawet przeciwne prawu kanonicznemu, jak np. odprawianie nabożeństw za zmarłego cesarza, przerywanie spowiedzi, byle zdążyć na galówkę i t. p.

Mistycyzm w formie praktykowanej u nas sam w sobie nie byłby może rzeczą złą, gdyby nie prowadził wprost do głupoty. Zresztą niechby mistycy byli głupimi, byle nie byli przewodnikami dusz. Jako pasterze wywierają wpływ wprost zgubny. Inteligencya wyśmiewa ich i pogardza ich zasadami, — lud staje się coraz głupszym. Dość powiedzieć, że jeden z mistyków, jako profesor literatury w Płocku, zabraniał klerykom czytać „Pana Tadeusza", a drugi również profesor w Lublinie dowodził, że nie powinniśmy oświecać ludu, bo oświata prowadzi do niewiary i zepsucia obyczajów. Jeżeli mistycy pozwalają czytać ludowi książki i aprobują czytelników wśród inteligencyi, to tylko książki religijne. Dla książek świeckich, zwłaszcza beletrystyki i poezyi są prawdziwymi Omarami.

Cóż więc takich ludzi może obchodzić sprawa narodowa? Jestto podług nich — nie lada głupstwo myśleć o niej. Pracę dla Ojczyzny uważają nietylko za niepotrzebną, ale za niedorzeczną i szkodliwą. Kto bowiem myśli o Ojczyźnie, ten zapomina o niebie. A ojczyzną naszą, to niebo.

Juściż prawda! Ale ciekaw bardzo jestem, coby zrobił mistyk, gdyby złodzieje napadli na jego dom, gdyby zabrali mu wszystko, gdyby go w końcu wyrzucili z domu i zmusili go, by im służył? Coby powiedział, gdyby, pożerając i niszcząc jego dobro, urągali jego niezaradności, gdyby pastwili się nad jego matką, ojcem, siostrą i bratem, gdyby jego najmniejsze niezadowolenie, najmniejszy protest surowo karali? Czy aprobowałby takie postępowanie? Nie. Wołałby o sprawiedliwość i nie spocząłby, ażby ją znalazł.

A czyż praca narodowa nie jest tem samem? Czyż nie staramy się o to, by nam zwrócono nasz dom, nasze sprzęty, naszą cześć? Rozprószono nas, odarto, wypędzono z własnej ojcowizny; jesteśmy przychodniami i tułaczami na własnej ziemi, gorzej niż

tułaczami, bo niewolnikami, — wołamy o życie, które nam Bóg dał, biją nas za to, depczą, poniewierają, chcą nas żywcem pochować. Lud ciemny, nieświadom swej niedoli, próżno oczekuje światła i pomocy od kapłanów... mistyków... Niebo — mówią — twoja ojczyzna, a tu siedź cicho i cierp...

Mistycy są bardzo zarozumiali w swej doskonałości, a przeto uparci. Przekonać ich to praca Syzyfa. Jedno im chcę jednak przedstawić przed oczy, mianowicie: żeby mieć buty, trzeba je kupić u szewca, suknie u krawca, bieliznę u szwaczki, słowem żeby żyć, trzeba posiadać niezbędne pieniądze, a o pieniądze trzeba się starać, o tę mamonę. Mistycy też nie zaniedbują starania o tę mamonę, bez której ciężkie życie na ziemi. A jeżeli mistycy mają staranie o takich rzeczach ziemskich, jak buty, czapka, koszula, pieniądze, to dlaczego potępiają pracę narodową, która przecież coś więcej warta. Jeżeli mistyk gardzi rzeczami ziemskiemi, a więc i Ojczyzną, to niech przynajmniej w imię wyższej zasady stara się osłodzić innym smutny pobyt na tej ziemi. Wielcy święci pracowali nad wykupywaniem niewolników z niewoli, powstały w tym celu specyalne zakony, wielu z nich sprzedawało się, by przywrócić wolność nieszczęśliwemu, a dziś mistycy potępiają pracę nad wyjednaniem choć niewielkich ulg w ciężkiej niewoli... A nietylko trzymają się na uboczu, co byłoby mniejszem złem, ale przekonania swe wpajają w powierzony swej pieczy lud.

Mistyków mamy jednak bardzo szczupłą garstkę. Bez porównania więcej jest kapłanów n a p r a w d ę gorliwych, których praca owocną jest i pożyteczną.

Kochają oni Ojczyznę gorąco, wiedzą i odczuwają jej straszną niedolę, ale nic dla niej nie robią, o pracy narodowej nie myślą wcale. Nie są leniwi, — przeciwnie bardzo chętni do pracy, ale zdaje im się, że praca dla Ojczyzny, to nie ich rzecz. Nienawidzą wprawdzie rządu, bo ich uciska i mocno uciska, zgrzytają zębami na jego niegodziwe postępowanie, ale są potulni i lojalni, bo w myśl upomnień władzy uważają się za żołnierzy, którzy nie powinni myśleć, rozumować, ale ślepo wykonywać wszystkie jej rozporządzenia. Niektórzy cieszą się nawet, gdy widzą budzącą się wśród ludu świadomość, jednakże lękają się nielegalnych wydawnictw, gdyż według ich mniemania, szerzą one socyalizm, niewiarę, zepsucie obyczajów i t. p. Sumienie więc ich pasterskie lęka się, by z oświatą polityczną nie zagościły pod strzechami słomianemi hasła

Daszyńskich, Stojałowskich i t. p. Przeto ich doskonałością jest sumienne wypełnianie obowiązków kapłańskich, — umoralnianie ludzi i oświecanie w zasadach wiary świętej. O innej pracy słyszeć nie chcą, albo słuchają niechętnie, powtarzając szablonowo: „Co to księdzu po tem? Po co się w to wdawać? Niech inni o tem myślą“.

Praca ich jest bardzo owocna, bo moralny i oświecony w rzeczach wiary lud staje się twardą, nieprzystępną opoką na wszelkie pożądliwe zakusy wroga, — jest owocna lecz nie pełna!

Przechodzę do rzemieślników. Tych bodaj jest wśród nas najwięcej. Są między nimi dobrzy, zdolni i uczciwi rzemieślnicy, są też fuszerzy i hultaje, jak w każdym zawodzie. Pierwsi i drudzy nie mają żadnych ideałów, do którychby się zapalali, żadne szersze poglądy nigdy nie zaświtają w ich głowie. Spełniają szablonowo swe obowiązki z tem udręczeniem, jakie daje każda praca rzemieślnicza, musowa. Po jej ukończeniu czują ulgę i oddają się zajęciom gospodarskim lub innym amatorskim, jak polowanie, rybołóstwo, pszczelnictwo i t. d. O szerszym zakresie pracy nie myślą. Na zebraniach swych, czy to podczas odpustów, czy przy innej okoliczności prowadzą rozmowy banalne, często niedorzeczne i puste. Nigdy albo prawie nigdy nie usłyszysz tam kwestyi omawianej poważnie, co najwyżej jakiś *casus* teologiczny lub wątpliwość liturgiczna. I to dobre. Ale próżnobyś czekał na poruszenie pytania, jak usunąć niejedną nędzę, jak uprościć nauczanie, jak stanąć ramię do ramienia przeciw niesłusznym wymaganiom rządu, jak zorganizować obronę ludu przeciw deprawowaniu go przez komisarzy włościańskich, „Oświatę“, herbaciarnie i inne tym podobne sidła rządowe.

To przechodzi zakres ich działalności. Bo i na co? Odrobili przecie w kościele, co było do odrobienia, zadowoleni więc, że już nie ma roboty. Cieszą się życiem, jakby poza ich kółkiem najedzonem, napojonem, zadowolonem nie było świata i jego potrzeb...

Między tymi rzemieślnikami duchownymi wielu jest przecie ludzi uczciwych i zacnych. Nie myślą wprawdzie o żadnej pracy narodowej, bo albo jej nie rozumieją, albo też winno temu ich wychowanie. Są między nimi patryoci, ale tylko w ustach, w uczuciu ale nie w czynach. Na Moskali psy wieszają, ale chętnie zapraszają ich do siebie, bawią się z nimi, przyjaźnią się nawet. Chętnie

przyjmują od nich gratyfikacye, nawet ordery. Biorą udział w zbiorowych ucztach, wyprawianych na przywitanie, pożegnanie lub inne uszanowanie jakiegoś naczelnika Moskala.

Krzywią się, gdy spostrzegą u kogoś portret carski, ale sami zawieszają go w swoich komnatach. Zbierają składki na każde zawołanie gubernatora: na żołnierzy, walczących w Chinach, na głodnych z nad Wołgi, na syfilityków wielko-rosyjskich, na urządzenie choinki w święta prawosławne i t. p. Zżymają się na to, plują z wściekłością, ale nie mają odwagi odmówić. Nie chcą się narazić.

Z takich jednak można wyrobić dzielnych pracowników na niwie narodowej.

Ale są między rzemieślnikami hultaje, szubrawcy, zdrajcy swego stanu świętego, których miejsce w jaskini łotrów, ale nie wśród grona kapłanów. Ci poniewierają swoją suknię duchowną, ściągają na siebie i na cały stan duchowny pogardę i nienawiść, a przez to samo stają się sprzymierzeńcami rządu. Kocha on ich bardzo, ale zarazem karze, jeżeli lud zniecierpliwiony uda się doń przeciw ich nadużyciom. Takie skargi na kapłanów są dla rządu nielada gratką. Może się on przy tej sposobności wmieszać do spraw duchownych, pokazać ciemnemu ludowi, że dba o jego dobro i pokazać mu swoją powagę. Rządby pragnął, aby takich kapłanów było jaknajwięcej. To są najdzielniejsi jego pomocnicy. Nic też dziwnego, że gwałtem wciska się do seminaryów, że chce mieć tam swoich inspektorów, którzyby forytowali intruzów, łotrów, a prześladowali młodzieńców zacnych, gorliwych i zdolnych.

Jeżeli nasz episkopat zgodzi się kiedy na wpuszczenie do seminaryów inspektora Moskala, to da dowód swego krótkowidztwa i niebaczności. Niebawem dyecezye nasze, w których kapłan-łotr jest jeszcze rzadkością, takimi przeważnie będą zalane.

Kapłanów, którzy plamią swą szatę, należałoby bez ogródek wytykać publicznie, nie krępując się żadnymi względami. Judasza, choć apostoł, nikt nie ochrania ani milczeniem dyskretnie jego zbrodni nie okrywa, a czemuż mielibyśmy być względniejsi dla tych, którzy sieją dziś zgorszenie! Człowiek to upadły, zgubiony, do żadnej pracy namówić się nie da, żałować go więc niema potrzeby.

Nareszcie są kapłani — obywatele. Tych niestety mało jest, bardzo mało. Wina w tem wychowania i tych ideałów, na które każą się nam zapatrywać. Seminaryum daje wychowanie jedno-

stronne. Zwraca ono uwagę li tylko na stronę — że tak powiem — kapłańską. Zapycha nasz umysł wiadomościami teologicznemi, a serce zasadami rozmaitych mistrzów duchownych. Gdyby choć kształciło nas w teologii, gdyby urabiało nasz charakter, gdyby wytwarzało mężów bożych, spełniłoby choć w części swe zadanie. Ale dotąd i tego niema. Pasie nas wiedzą teologiczną i jej pomocniczemi, ale nie troszczy się, czy ten pokarm strawimy dobrze. Bylebyśmy byli nasyceni, to wystarcza. To też ten pokarm teologiczny dawany jest na surowo, bez żadnych przypraw, tak, jak go kupił profesor w Akademii lub w książkach. Innemi słowy, profesor nie przeżuwa go i nie podaje swoim pisklętom w odpowiedniej dekokcyi, bo profesorowie w seminaryum — przynajmniej ja miałem takich — nie są wychowawcami, ale sztywnemi figurami, z powagą powtarzającymi sentencye, które sami dobrze „wybębnili".

Podobnie się ma z sercem. Każą nam się kształcić na wzorach starych, źle mówię starych, bo naprawdę martwych, zbutwiałych. Są one piękne, ale nadają się raczej do muzeów, niż do zapatrywania się na nie, jako na rzeczy do naśladowania...

Świat nie stoi na jednem miejscu. Pędzi naprzód z siłą szaloną; powstrzymać go w tym pędzie niepodobna. Za postępem powinni podążać kapłani. Inaczej pozostaną w tyle, świat odwróci się od nich, pójdzie za głosem innych, a na kapłanów kamienie rzucać będzie. Mieliśmy dowody tego w masowych odstępstwach, jak np. w czasie wielkiej rewolucyi francuskiej. Nie ma tu naturalnie mowy o dogmatach religijnych, ale tylko o stanowisku kapłana w społeczeństwie, jako obywatela. Że stanowisko to powinno się stosować do czasu i miejsca, o tem dwóch zdań być nie może. Nie tacy ludzie, jak ja, zasadę tę głosili. Z pośród wielu przytoczę ustęp z mowy Karola Miltitza, mianej na sejmie w Wormacyi w r. 1521 przeciw Lutrowi: „Jakże człowiek przestał żywić się żołędzią? jakże córki królewskie przestały prać sobie bieliznę? I któż nie wie o tem, że ciało polityczne podobne jest ciału ludzkiemu i że człowiek skoro dorośnie, nie nosi już sukni dziecięcych, ale przywdziewa suknie męzkie?" Jeżeli kapłan zawsze i wszędzie inaczej postępuje z człowiekiem wykształconym, niż z prostakiem, to rzecz prosta zmienić powinien postępowanie ze zmianą stosunków na świecie.

Niewłaściwie więc każą nam zapatrywać się na mowy stare i chcą nas cofnąć o całe tysiąclecie. I nietylko stare, ale stru-

pieszałe. Przecież nie jesteśmy posągami, wystawionymi dla ozdoby ludzkości, ale jesteśmy jej żywym organizmem, jej solą i światłością. Powinniśmy przenikać wszystkie przejawy życia ludzkiego, ożywiać wszystkie stosunki i dążności. A że to życie dziś inne, niż za dni św. Augustyna, Ignacego i innych, przeto ich przepisy już nam nie wystarczą. Dziś nam potrzeba czegoś więcej; potrzeba imponować tłumom, porywać i prowadzić, jak oni robili, ale metoda dawna już dziś nie jest dostateczną. Dziś przybranie się w szaty kapłańskie i występowanie w ich powadze nie każdemu zaimponuje. Co innego jeżeli kapłan jest obywatelem. Za nim pójdą tłumy. Mówią niektórzy, że gdyby św. Paweł żył i działał w naszych czasach, napewno byłby dziennikarzem. Zapewne. Rozumiałby bowiem, że w ten sposób najłatwiej przekonywać masy. Za takim Stojałowskim poszliby wszyscy, gdyby naprawdę był kapłanem-obywatelem.

Dziś sama pobożność i gorliwość w konfesyonale i na ambonie nie wystarcza. Doskonalenie się w życiu duchownem dobre jest dla kapłana, ale pasterzowi potrzebne jest doskonalenie się nietylko w życiu duchownem, lecz niemniej w życiu obywatelskiem.

Nieprzyjaciele nasi rozumieją potęgę kapłanów, jako czynnych obywateli kraju. To też wyrzucili nas ze szkoły, z gminy, z całego życia społecznego; chcą nas gwałtem wepchnąć do zakrystyi i na niej ograniczyć nasze działanie. Niestety władza duchowna i wielu, bardzo wielu kapłanów nie inaczej stanowisko kapłana rozumieją. „Spowiedzi słuchać, kazać, mszę św. odprawiać, sprawować sakramenta św., urabiać się duchowo — oto nasze zadanie. Reszta należy do świata“.

Dziwne doprawdy rozumowanie. Gdyby tak mówili kapłani-sybaryci, którym się robić nie chce, nie byłoby w tem nic dziwnego, ale słyszymy te słowa z ust kapłanów najlepszych, ludzi najszlachetniejszych, — i to właśnie boli każdego prawego Polaka.

Nie dość na tem. Mówią, że jesteśmy żołnierzami, że więc powinniśmy ślepo słuchać rozkazów władzy, a w żadne rozumowania się nie wdawać. Dla ludzi tępych, leniwych, egoistów — taka teorya jest nadzwyczaj wygodna, ale dla kapłanów, chcących pracować dla swego społeczeństwa, jest z gruntu fałszywa. Bo i jakże? My, kapłani, jesteśmy tylko żołnierzami? Więc tylko do bezmyślnego wykonywania przepisów i woli przełożonych nasza działalność się ogranicza? Więc jesteśmy tylko pionkami, posu-

wanymi ręką władzy na szachownicy życia? Więc nic nam nie wolno czynić dla dobra społeczeństwa, z któregośmy wyszli, z którego żyjemy i dla którego jesteśmy?

Za pozwoleniem. Jesteśmy obywatelami kraju i to obywatelami nie lada. A jeżeli mowa o walce z wrogami, to raczej przystoi nam nazwa wodzów niż żołnierzy... Jesteśmy „solą ziemi“ i „światłem świata“, a więc jako sól, powinniśmy wciskać się do wszystkich przejawów życia, nie powinniśmy usuwać się od żadnej pracy, a zwłaszcza od pracy narodowej, bo jeżeli się od niej usuniemy, to inni mogą ją poprowadzić mimo nas i nie tak, jakbyśmy sobie jako słudzy Chrystusa życzyli. Jako światło mamy świecić pięknym przykładem w pracy obywatelskiej, aby inni członkowie społeczeństwa widzieli nas i do pracy obywatelskiej się zapalali.

Prawdziwem światłem i solą społeczeństwa może być tylko kapłan-obywatel. On bowiem nie zamyka oczu na nędzę swego ludu, w której pogrążyła go niewola; on widzi zakusy wroga, który go chce zgładzić, „sprawosławić“; przeczuwa, że wróg ten wżera się powoli, ale ustawicznie w życie tego ludu, że w to życie zapuszcza zarazki chorobotwórcze, że jak polip straszny ściska go coraz bardziej, aby go zadusić.

Kraj nasz walczy o najświętsze prawa, nie chce umrzeć, opiera się konaniu, leczy rany zadane przez wroga i usiłuje powstać. Usiłuje być tem, do czego ma prawo, chce mieć to, co mają wszystkie narody lub o co świętą prowadzą walkę. Jeżeli więc kapłan powie: „mnie nic do tego, nie moja to rzecz“, to słusznie może spodziewać się zapytania: „po coś więc przyszedł? po coś się obrał naszym nauczycielem? chcesz iść dobrowolnie na zagładę, to idź, ale zostaw swoje miejsce dla człowieka, który walczyć z nami będzie o życie nasze“.

Naród pragnie życia. Czyż to nie jest pragnienie świata? Czyż nie na to Bóg dał mu życie, żeby je cenił, żeby się bronił przed śmiercią? A tymczasem kapłan usuwa się w miejsce wygodne, kryje się jak tchórz i mówi: „umieraj narodzie, widocznie taka wola Boża, cóż robić?!“ I nietylko sam nic nie robi w obronie ludu, ale innym odbiera chęć, otuchę. I zdaje mu się, że robi dobrze, że należycie wypełnia zadanie kapłana.

Nie tak robili Kordeccy, Skargowie, Staszyce, Konarscy. Kalinkowie i tysiące kapłanów obywateli. Bronili nietylko życia narodu, ale całości Ojczyzny, a bronili czem kto mógł i umiał: piórem,

słowem i czynem. A dziś chodzi więcej, niż o całość Ojczyzny, bo chodzi o życie... Nie tak robili uznani przez Kościół za mężów bożych — Mojżesz, Jozue, Gedeon, Daniel, Juda Machabejczyk, Judyt! Inaczej myśleli święci i wielcy kapłani.

Ale u nas (mówię ciągle o dyecezyi Płockiej) mało, bardzo mało jest prawdziwych kapłanów-obywateli.

Ksiądz Polak.

SURSUM CORDA.

Ostatnie czterdziestolecie, to najcięższy, najsmutniejszy okres nietylko w całej historyi naszej, lecz nawet w epoce porozbiorowej. Po powstaniowym pogromie społeczeństwo całe przytaiło dech, by wróg resztek tlejącego życia dostrzedz i wyczuć nie był w stanie. Moskwa zakuła ciało w kajdany, a dusza narodu, z duszami najlepszych, świeżo pomordowanych jego synów, zda się, opuściła to obumierające z bólu ciało. Więc Moskwa tryumfowała na wszystkich polach i punktach. Żądza zemsty podyktowała jej nieubłagany system eksterminacyjny, w którego kleszczach naród nasz miał się przerodzić z gruntu i zamienić w karną, wiernopoddańczą, rdzenną rosyjsko-schyzmatycką prowincyę. Z żelazną konsekwencyą i z iście wschodnią przebiegłością tłumiono w zarodku wszelkie szlachetniejsze uczucia, rozbudzano zaś i pielęgnowano najgorsze instynkty i apetyty. Rozklinowano społeczeństwo na stany, uzbrojono klasę przeciw klasie, a w następstwie każdy stan, każdą poszczególną warstwę społeczną sproszkowano na oddzielne atomy. Toć w tak sproszkowanem społeczeństwie łatwiej rządzić, łatwiej wszelkie życie zgnębić, łatwiej kulturę rosyjską zaszczepić. W kilkanaście lat po powstaniu zdawało się, że ostateczny cel Moskwy w zupełności osiągniętym został. I tym nielicznym, co z ogólnego potopu duszę polską nieskalaną ocalili, mogło, musiało się wydawać, że wszystko przepadło, że pozostaje jeno płakać nad świeżemi ruinami Jerozolimy. Te nieliczne dusze polskie bezgraniczny ból mógł rzucić w odmęt rozpaczy, bo „narodu duch zatruty — to dopiero bólów ból". A duch ten był nawskroś przesiąknięty umiejętnie i nieustannie zaszczepianą trucizną. Chłop rozbestwiony przez Milutinów, Czerkaskich i ich go-

dnych następców przeciw swemu bratu szlachcicowi — to jeszcze obraz mniej wstrząsający, niż kwiat narodu, inteligencya rozbestwiona przeciw Kościołowi i Polsce. Przeżyliśmy już to — możemy więc o tych bólach mówić spokojnie.

Możemy i musimy mówić, bo wstępując w nowy okres naszej historyi, winniśmy choć przelotnie rzucić okiem wstecz i choć szkicowo zakończyć rachunek ze smutną przeszłością. Gdy słońce Polski zakryło się chmurą moskiewską, nastała długa czarna noc. Wśród nocy tej społeczeństwo utraciło swego Boga z przed oczu i poszło na wysługę różnym obcym bożkom. Pozytywizm, materyalizm, socyalizm stanęły na manowcach, po których naród nasz przez ćwierć wieku się błąkał, stanęły pod ogólnym szyldem postępu i pochłonęły ofiar moc, ogromną moc. A w ich liczbie, wśród tej mnogiej ćmy, co na światło byle łojówki leci, były i ofiary wysoce szlachetne; tem większy żal, że zabłąkały się na bezdroża, na których się zmarnowało parę pokoleń polskich.

Przyszły te bożki postępu po swój łup do ziemi naszej zarówno z zachodu jak ze wschodu, a przyszły właśnie wtedy, gdy społeczeństwo wiło się w kurczach boleści. Przyszli do nas Comte, Draper, Renan, Darwin, Büchner, Marx i Lassalle z zachodu, Pisarew, Dobrolubow, Czernyszewski ze wschodu, nie w formie poważnego prądu naukowego, co w nauce wydaje Kołłątajów, Staszyców, Śniadeckich, lecz w szacie wsiąkliwych broszurzynek, akurat takich, by łatwiej w tysiącach omdlałych dusz zaszczepić tak pożądany przez Moskali nihilizm. Myśl wstępujących w życie pokoleń popowstaniowych łaknęła jakiegoś pokarmu, szukała jakiegoś pokrzepienia, a nie mogąc w tej ciemnicy moskiewskiej znaleść zdrowej strawy, bezkrytycznie, bez przygotowania naukowego, wchłaniała doktryny wszelakie w sposób iście samobójczy. W tym okresie szczęściło się Moskwie: nawet różne doktryny, w szatę, czy to filozofii, czy to historyi, czy to socyologii przyodziane, działały na społeczeństwo destrukcyjnie, wynaradawiająco, i to tem skuteczniej, że przenikały tam, dokąd wynaturzający system wszechwładnego azyaty przeniknąć nie był zdolen.

Posiew tych chwastów wydał plon bujny, tak bujny, że niejeden z myślicieli, służących za firmy dla tej siejby, wyparłby się i swoich popularyzatorów i swoich adeptów na tej niwie polskiej, tak niedawno jeszcze w imię innych haseł krwią ojców zroszonej.

Nie piszę tu historyi tego smutnego okresu, nie mogę jednak

uniknąć przypomnienia charakterystyczniejszych faktów, wymownie ilustrujących stopień wynaturzenia, do jakiego doprowadziły zanik zdrowej myśli polskiej i stąd naturalny rozrost obcych naszemu duchowi prądów. Ostrze prądów tych zwróciło się przedewszystkiem przeciwko kościołowi katolickiemu i przeciw przeszłości Polski. Plwano w obie nietykalne dotychczas świętości, plwano, urągano i bezczeszczono je, bo Kościół służy znienawidzonemu przez wszystkich pogan Bogu, druga zaś świętość — przeszłość Polski, bo katolicką była. Nie było to właściwie szamotanie się myśli ludzkiej, buntującej się przeciw Bogu; nie, był to raczej tandetny ateizm. Tandetna bezwyznaniowość lilipucich gąbczastych mózgów, karlich serc w tej jałowej dobie ogólnego skarlenia i bezdogmatowości.

Przewodnia warstwa społeczeństwa, inteligencya, po prostu straciła grunt pod nogami i wszelakich pogan dopuściła do przewodzenia sobie. Zawiło się od tych pogan, a liczba ich zastraszająco rosła z dopływu językowo zasymilowanych elementów żydowskich. Rozpoczął się proces wzajemnej asymilacyi. Żydzi przyjmowali język nasz i tem jakoby wciskali się w nas, by tem snadniej zgnębić naszą, a wtłoczyć w nas swoją duchowość. To duchowe zżydzenie szczytów naszego społeczeństwa tłumaczy nam: i tę zaciętą nienawiść do wszystkiego, co nosiło cechy katolicyzmu oraz tradycyi polskiej, i tę nieczułość na aktualne cierpienia narodu, i tę bezwzględną zgodę z losem, i ten cynizm w traktowaniu spraw Kościoła i Polski, i to łatwe sprzedawanie idei niepodległości za ruble napływające ze wschodu. Tylko cynizm żydowski mógł sobie pozwolić podonczas na systematyczne zohydzanie Stolicy Apostolskiej, na której tronie siedział Pius IX, wypróbowany, nieustraszony i jedyny przyjaciel Polski. Z żydowską nienawiścią do chrystyanizmu zohydzano u nas bezkarnie Stolicę Piotrową w chwili, gdy rząd więził na wygnaniu biskupów, gdy bezwzględnie gnębił Kościół, upatrując słusznie w Kościele najtrwalszą podwalinę polskości, gdy wszelakich usiłowań dokładał w kierunku sprawosławienia kraju.

Korzystając z zupełnej swobody cenzury, gdy szło o zniesławienie katolicyzmu, żydowsko-polscy postępowcy wysilali się na zohydzanie przed społeczeństwem klasztorów katolickich, na bezczeszczenie i spotwarzanie całego duchowieństwa katolickiego. — w okresie, gdy rząd zabierał klasztory, by je przerabiać na cerkwie

i tworzyć fortece prawosławia gdy setkami wywoził na wygnanie uczciwych księży, gdy mścił się na każdym kroku na katolicyzmie za jego naturalny i nierozerwalny sojusz z niedolą i walką zakutego w kajdany narodu.

Wymownym też jest z drugiej strony żydowsko-polski humanitarny entuzyazm dla Rosyi, jako wybawicielki Słowian, i urąganie Turcyi, która dotychczas jedna jedyna nie podpisała aktów rozbioru Polski. Współczucie dla Słowian wrzekomo gnębionych przez Turcyę i zachwyt dla Moskwy, która jednocześnie ogniem i mieczem tępiła unię!

Krew i pożogi, katowania starców, kobiet i dzieci, czyż mogły wzruszyć tkliwe dla braci Słowian serca liberałów żydowsko-polskich — wszak na unii szło tylko o wykorzenienie przesądów katolickich. Działo się coraz to gorzej, rozpaczliwie gorzej. Materyalistycznemu pozytywizmowi i liberalizmowi przyszedł z pomocą socyalizm — to nieodrodne dziecko liberalizmu. Gdy podstarzały już liberalizm przez usta różnych Świętochowskich dawał społeczeństwu „nowe wskazania polityczne“, propagujące zgodę z losem i chętnie odstępujące nieśmiertelną ideę niepodległości za możność tuczenia się przy pełnym żłobie rynków wschodnich, młody socyalizm zaprzepaszczał Polskę jako naród w kosmopolitycznej międzynarodówce, w łączności nawet z Moskalami i Niemcami, w łączności tem spoistszej, że właśnie od Moskali i Niemców zawitała do nas ewangelia socyalistyczna.

Gdy pierwsze pokolenie popowstaniowe uznało fakt dokonany zmiażdżenia narodu, pogodziło się z przemocą brutalną siły materyalnej, utonęło w absolutnej bierności, a osłody marnego życia szukało w osobistej karyerze, to drugie pokolenie — już socyalistyczne — wystąpiło do walki z rządem lecz w imię haseł mniej dla rządu niż dla Polski wrogich i niebezpiecznych. Pierwsze ogłosiło i w codziennej praktyce przeprowadzało zgodę z rządem zaborczym, drugie pokolenie, wypisawszy na swym sztandarze „proletaryusze wszystkich krajów łączcie się“, głosiło zgodę z narodami zaborczymi i panującymi. Liberalizmowi zarówno jak socyalizmowi stawały w poprzek ich drogi: Kościół ze znakiem Chrystusa, ukrzyżowanego dla zbawienia świata, i widmo Polski ukrzyżowanej. Abdykacyi, uznaniu rządów potęgi materyalnej Kościół z natury rzeczy przeciwstawiał wiarę w sprawiedliwość Bożą. wiarę w potęgę ducha — Polska zaś przeciwstawiała swą tysiąc-

letnią tradycyę i niezniszczalne prawo do bytu samoistnego. Socyalistycznej hajdamaczyźnie i wściekliźnie walki klasowej Kościół przeciwstawiał miłość, Polska zaś jedność dzieci jednej ziemi w wspólnej walce z najazdem. Zatem Kościół i Polskę należało z drogi usunąć za wszelką cenę. Zawrzała propaganda, przenosząc truciznę ze szczytów do nizin społeczeństwa.

Akurat w chwili, gdy rząd rugował resztki języka polskiego ze szkoły, — socyalistyczna młodzież śpiewała pieśni moskiewskie i odczytywała robotnikowi warszawskiemu rosyjskie proklamacye i broszury. W okresie, gdy rząd wmawiał chłopu naszemu, że powstanie urządziła szlachta dla utrzymania pańszczyzny, liberali i socyaliści zohydzali tę bohaterską walkę jako wybuch „klerykalno-szlachecki“.

Gdy pan Spasowicz zawitał do nas z nad Newy, by w sali ratuszowej wymownie napiętnować katolicyzm i szlacheckie pole, owacyjnie przyjęła go młodzież, a pan Mendelson, syn bankiera, student milioner w czerwonej koszuli złożył panu Spasowiczowi publiczny hołd za obronę socyalistów rosyjskich w Petersburgu. W rok potem, gdy setkę uwięzionej w cytadeli akademickiej i robotniczej młodzieży zapytał komendant, czy kto nie żąda księdza do Wielkanocnej spowiedzi, wszyscy bez wyjątku, ci 18- i 20-letni młodzieńcy, odpowiedzieli szyderstwem. Jeszcze w rok potem, na obchodzie 50-letniej rocznicy listopadowego powstania w Genewie wszystkie mowy Mendelsonów, Diksztajnów, Waryńskich i Dłuskich kończyły się okrzykiem „precz z Polską“, a jedno z tych przemówień obiecywało: „pierwszą kulę na księdza, a drugą kulę na pana“.

U konfesyonałów zaczęli się zjawiać biedni, zacni, spracowani ludzie ze smutnemi wynurzeniami, że jacyś panowie po fabrykach opowiadają, jakoby Boga i duszę to jeno księża wymyślili dla oszukiwania biednych głupich ludzi, bo księża utrzymują lud w ciemnocie, aby panom dobrze się działo na świecie. To już był nawet nie europejski socyalizm, to była siejba moskiewskiego nihilizmu. Siejba ta stokroć większe spustoszenia moralne poczyniła na Litwie i w całym kraju zabranym, niż u nas w Królestwie. Tam samolubniejszą część młodych pokoleń popowstaniowych pochłonęła pogoń za karyerą, część zaś wrażliwsza utonęła w odmęcie socyalizmu i nihilizmu. W rezultacie młode pokolenia w kraju zabranym, wyzbywszy się „przesądów“ religijnych i ideałów naro-

dowych zaludniły Rosyę, pożeniły się przeważnie z prawosławnemi, pozbawiły kraj rodzinny sił młodych i, co gorsza, inteligencyą swą i pracą wzmocniły wrogi nam organizm.

Moskwa tryumfowała: ogólne zniepra wienie wydawało niespodziewanie obfity plon. Lecz tryumfowała przedwcześnie. Naród rany goił i w siły nowe rósł, zaczęło się budzić sumienie narodowe. Gdy na pewnem zebraniu żydowsko-polskiej młodzieży apostoł socyalizmu, po dziś dzień grasujący między pensyonarkami, sformułował swoje i swoich żydowskich uczniów credo: „z czerwonym sztandarem pójdziemy na dwory i kościoły“, znalazł się śmiałek, Polak rodowity, co urągliwie zapytał: „a na synagogi?“

Reakcya zaczęła się ujawniać na wszystkich punktach, apostołowie wszelakiego nihilizmu zaczęli tracić kredyt w narodzie, który poczynał czuć się sobą i uświadamiał w sobie niechęć do przeznaczanej mu roli pognoju pod rozrost różnych obcoplemieńców.

Rozpoczynał się błogosławiony okres różniczkowania się w społeczeństwie. Wczorajszy propagator pozytywizmu i exdemokrata Straszewicz łącznie z Suligowskimi, Godlewskimi, Piltzami i innymi redaktorami oraz współpracownikami *Przeglądu tygodniowego, Nowin* i *Prawdy* znaleźli się tam, gdzie im przystało: tam, gdzie święci swe tryumfy siła brutalna, to jest pod sztandarem samobójczej ugody. Inni z rozpadającego się obozu robili miny poważne i udawali, że rozumieją, co się wkoło nich dzieje, a nie rozumieli nic, więc po dawnemu przeżuwali stare tematy i starzejącemi się usty rzucali klątwę na powrotną falę „polskiego wstecznictwa i szowinizmu“. Inni znów zawołali: „*Galilee vicisti*“, Polakiem jestem i Polsce wierną służbę zaprzysięgam.

Każdy musiał się decydować w obraniu stanowiska, bo długa noc się kończyła, nastawał brzask i w promieniach wschodzącego słońca każdy musiał orzec: czy idzie z Polską lub przeciw Polsce, powstającej do nowego życia w całej swej majestatycznej powadze. Naród się budził, a w głębiach jego pracowali ci, co serdeczną synowską miłością jego przeszłość i przyszłość ukochali. Falanga tych pracowników rosła, potężniała w miarę ogólnego wzmagania się sił narodowych. A gdy stronnictwo narodowe skrystalizowało się i zmężniało, wystąpiło ono z programem, który ku oburzeniu liberałów i socyalistów, zapowiadał obronę wiary i kościoła katolickiego, na równi z obroną praw narodu. A miała to

być i jest obrona, nie ta platoniczna, polegająca na westchnieniach konserwatystów warszawskich, lecz obrona czynna, ofiarna, codziennie sypiąca szańce między nami a schyzmą, wydzierająca ofiary przez prawosławie już porwane.

Tak, wkraczamy w nowy okres naszej historyi, którego doniosłości dziś ocenić należycie nie jesteśmy w stanie. Tam chłop, świeżo unarodowiony, przydźwignął na plebanię kupę *Polaka* z za kordonu, ówdzie lud stanął ławą do walki z Moskwą o swe prawo w gminie, ówdzie akademicy, może wczorajsi bezwyznaniowcy, przywieźli na Unię cudowny obraz z Rzymu, gdzieindziej młodzież zachęca lud do pielgrzymki na Jasną Górę, a tam znów ślepe wytresowane narzędzie Moskwy staje w karnych szeregach pracowników narodowych. Chłopi — wczorajsi uczniowie komisarzy włościańskich zaczynają zapełniać więzienia, a dwory zaczynają się dziwić, zkąd te zapomniane uczucia w chłopskich sercach ożyły i mieszkańcy dworów sami powoli zaglądają do *Polaka.*

Uroczystości Mickiewiczowskie z ich zakulisową „wszechpolskością“ i wszechstanowością, a potem jubileusz Sienkiewiczowski, o niemniej wszechstanowym charakterze, a potem Września, a w ślad za nią Siedlce - Biała - Pińsk, a jednocześnie cyrkularz Zwierowicza, wstrząsający wschodnie nasze kresy, gdy oto teraz wybory na Śląsku, dokumentujące odrodzenie naszej zachodniej placówki. Wszystko to są jakby znaki na niebie, zapowiadające lepsze jutro. Rozćwiartowany na dzielnice, sproszkowany wewnętrznie naród dwudziestomilionowy poczyna się duchowo odradzać i jakby poczuwszy w sobie dopływ młodej krwi poczyna się rozglądać w swem Piastowem i Jagiełłowem dziedzictwie: duch polski przebija już kordony i spaja dzielnice w jedną nierozerwalną całość, powołuje do służby wszystkie wierne dzieci ziemi polskiej, znosi różnice stanowe, wyciąga rękę po wszystko to, co zabrane, odbudowuje zburzone ołtarze i stawia na nich praojców świętości.

To jest fakt, który uświadamiamy sobie my dziś mniej, niż wrogowie nasi.

A teraz pytanie: wobec faktu ogólnego odradzania się narodowego jaką ma być rola nasza — duchowieństwa katolickiego? Tu znów musimy cofnąć się wstecz i w tej niedawnej przeszłości w najogólniejszych rysach określić naszą wartość i rolę. Wartość nasza i wczoraj i dziś musiała i musi odpowiadać wartości spo-

łeczeństwa, które nas wydało. Nie dla usprawiedliwiania i rozgrzeszania nas, lecz dla wyjaśnienia kwestyi winniśmy skonstatować, że wszystkie choroby nas trawiące wynieśliśmy ze społeczeństwa, zarówno jak zalety nasze są zaletami narodu, którego synami jesteśmy. W społeczeństwie, gdzie każdy cienia własnego się bał i jakby w chwili konania tylko spokoju bezwzględnego pożądał, — w społeczeństwie, w którem wczoraj jeszcze rządziła zasada trójlojalizmu, rzecz naturalna, że i wśród duchowieństwa musiała się znaleść moc tchórzów, maskujących brak ducha ugodą. W okresie, gdy niemal każdy, jako potulny niewolnik, łasił się i przymilał do lada pachołka moskiewskiego, nic dziwnego, że i wśród duchowieństwa było i jest sporo okazów, poniżających swą godność kapłańską i ludzką przed wszelką umundurowaną kanalią.

W społeczeństwie, w którem przez lat czterdzieści rzadko mówiono o obowiązkach jednostki względem ogółu, o pracy ofiarnej dla kraju, o walce z ciemięzcą, natomiast wtłaczano w umysły i serca myśl o karyerze osobistej, o osobistem używaniu, okupionem bodajby za cenę zaprzaństwa — naturalnem jest, że i wśród duchowieństwa przeważać musi typ samolubnych rzemieślników. nie zaś pożądany typ ideowych ofiarników i apostołów.

W społeczeństwie, którego warstwy wyższe zobojętniały dla celów podniosłych, a przeważnie były wrogie religii i kościołowi. zastępy duchowieństwa rekrutować się musiały z warstw niższych, mniej kulturalnych, i rzecz prosta musiał obniżyć się poziom intelektualny i zakres wiedzy wśród ogółu kapłanów.

Jeśli prawdą jest, że wolny naród ma taki rząd, na jaki zasługuje, to tem większą jest prawdą, że każde społeczeństwo ma takie duchowieństwo, jakie mocą swej siły duchowej sobie urobiło.

Mówię to przedewszystkiem do kapłanów, tych najlepszych, tych najszlachetniejszych, tych najofiarniejszych, co w swej żądzy gorącej służenia Kościołowi i Ojczyźnie, grzeszą zbytnim pesymizmem względem swego stanu.

Wszystko zrozumieć — to wszystko przebaczyć — mówi przysłowie. Bynajmniej zresztą nie o przebaczenie tu chodzi. Wielki już czas, byśmy otworzyli serca nasze, byśmy odkryli wszystkie nasze rany i bóle, byśmy wrzody nasze nawet rozpalonem żelazem przypiekali. Więc powtarzam, nie o rozgrzeszanie z błędów i grzechów tu chodzi, lecz o zrozumienie źródła chorób nas tra-

piących, bo dopiero to zrozumienie wyprowadzi nas na prostą drogę, prowadzącą ku uzdrowieniu zupełnemu.

Wytykajmy sobie winy wszystkie i grzechy, kontrolujmy się wzajem *ad majorem Dei gloriam*, wspierajmy się moralnie i doskonalmy w codziennej praktyce życia, ale też wytężmy wszystkie najdzielniejsze swe siły w pracy nad społeczeństwem, bo tylko ono i ono jedynie dostarczyć może pracowników, godnych wielkiej sprawy i wyzwolenia Kościoła i Ojczyzny.

Na pociechę zacnym braciom pesymistom jedno tu musimy zaznaczyć. Jeśli nie śmiałbym wydać sądu, że w ubiegłem czterdziestoleciu my duchowieństwo byliśmy stanem najzdrowszym, to w każdym razie, z głębi przekonania powiedzieć mogę, że wśród ogromu panoszącego się zła i wśród ogólnego znieprawienia nie byliśmy najgorsi.

Obrachujmy jeno wszystkie ciosy, jakie w tym czasie spadły na Kościół, zsumujmy wszystkie wyrafinowane środki prześladowania, stosowanego względem duchowieństwa, policzmy ile lat dyecezye były osierocone i pozbawione biskupów, ilu najlepszych z pomiędzy nas wywieziono na Sybir podczas powstania i po powstaniu, zważmy, jak małym był dopływ dzielnych sił z łona rozbitego, zgubionego i znieprawionego społeczeństwa, a uznamy wprost za wyraźny dowód łaski Bożej, że z ogólnego potopu, że z tego całkowitego rozprzężenia ocaliliśmy organizacyę kościelną dość silną i spoistą, by mogła obronić się od dalszych zamachów wroga. W ogólnej atomizacyi wszystkich stanów naszego społeczeństwa, jedyne duchowieństwo, jako stan, nie dało się rządowi sproszkować i zachowało zwartość i karność wewnętrzną, przejmującą zdumieniem i strachem Moskwę.

Prawda, z pośród nas wyszli tacy potworni zbrodniarze, jak Żyliński, Niemeksza, Tupalski, Senczykowski i inni mniejszego kalibru łotrzy, ale zbrodnie ich okupił i tryumfującą już Moskwę przeraził taki oto jeden ks. Piotrowicz, co w ciągu jednej doby potrafił wynurzyć się z błota apostazyi i stanąć u szczytu bohaterskiej ofiary i wstrząsnąć tym czynem całą Litwę. Prawda, wśród wielu obojętnych na sprawy Kościoła kapłanów zdziesiątkowanej przez Moskwę dyecezyi Lubelskiej znaleźli się i tacy, co za ruble zgodzili się wykładać młodzieży polskiej religię po rosyjsku, lecz gdy wybuchł protest siedlecko-bialski, nie znalazł się ani jeden

Judasz, coby uległ pokusom moskiewskim i za srebrniki sprzedał sprawę Kościoła i Polski.

Prawdą jest, że w dyecezyi wileńskiej wielu kapłanów ciężko zawiniło obojętnością wobec postępów schyzmy, brakiem żarliwości w obronie ludu przed prawosławiem, ale gdy odezwał się silny męzki głos JE. Zwierowicza, wbrew obawom i przewidywaniom pesymistów, nie znalazł się ani jeden wyrodek, coby dał się zastraszyć groźbom rządu i sprzeniewierzył się ożywczemu rozkazowi biskupa-wygnańca. W innych znów wypadkach, gdy wyższe sfery w hierarchii kościelnej dawały się oplątać w zdradne nici machinacyi ugodowej, wówczas spotykały dość zwarty opór w sferze niższego duchowieństwa. Tak było z wprowadzeniem języka rosyjskiego do kościoła w Królestwie, tak było z pokrzyżowaniem „oświatowych“ planów Imeretyńskiego. W swych sądach o naszym stanie powinniśmy się trzymać tej miary, do jakiej doszedł biskup Hryniewiecki po swym przybyciu do Wilna. Pamiętam, dwadzieścia lat temu, ten mąż wyjątkowego hartu i niepospolitej tężyzny duchowej, przybywał do dyecezyi wileńskiej jako surowy, nieubłagany sędzia, by, jak mówił, wymieść ją wielką miotłą, jak stajnię Augiasza. Kornie zgięli się wszyscy zdrajcy, ujęci żelazną dłonią biskupa. Pasterz czyścił, surowe napomnienia rozsyłał, gromy rzucał, wszędzie dopatrując się zaprzaństwa, obojętności, lenistwa. Wówczas zjawił się do Biskupa wiejski pleban, staruszek jak gołąb siwy, do rąk mu się pochylił i wyjaśniać począł: „Nie wszyscy tu kajdaniarze — pasterzu. Myśmy tu wszyscy nie bez winy, ale i nie bez zasług. Winnych ukarz, a poczciwych do serca swego przyciśnij, bośmy wytrwali a wycierpieli wiele“. I rozpłakał się starzec i mówić więcej nie mógł. A od tej wizyty przygarniać zaczął do swego ojcowskiego serca przezacny Biskup wszystkich poczciwych, karcąc surowo kajdaniarzy w dalszym ciągu. Gdy jednak sprawiedliwie szeregować począł Pasterz, okazało się, że większość jest tych „poczciwych, co wiele wycierpieli i wytrwali“.

By określić rolę naszą w przełomowej epoce odrodzenia się narodu, winniśmy ustalić parę podstawowych zasad, decydujących o naszem stanowisku w społeczeństwie.

A więc najpierw uznać musimy, że Kościół i Polska stanowią jedną nierozerwalną całość. Przez Kościół dla Polski, przez Polskę dla Kościoła, oto zasada niewzruszona, obowiązująca każdego świadomego i prawego katolika-Polaka. To nie jakaś przemijająca,

mniej lub bardziej zręcznie skonstruowana doktryna — nie, to prawda tak odwieczna, jak odwiecznem jest prawo Boże, to cała głębia naszych najpodnioślejszych uczuć, to najcenniejsze dziedzictwo nasze po wielkich naszych przodkach, bo jak mówi Krasiński, „to tylko prawdą dla narodu być może, co wypływa z jego historyi“. W historyi żadnego narodu Kościół nie wrósł tak silnie w ciało i w ducha narodu jak u nas; a na odwrót nigdzie żaden naród tak się nie zespolił ze swoim Kościołem w dobrej czy w złej doli, jak nasz polski. Historya żadnego narodu nie przekazała potomnym takich pomnikowych wzorów jak Skarga i Kordecki.

Polska państwowa była przedmurzem chrześcijaństwa, Polska dzisiejsza jest i dziś przedmurzem, zasłaniającem Europę od zalewu schyzmatyckiej barbaryi. Kościół, jak stał, tak samo i dziś stać ma na wałach tego przedmurza, ma wiernie stać i skupiać w sobie wszystkie siły duchowe dwudziesto-milionowej załogi. To jego dziejowe posłannictwo wbrew wszelkim wątpliwościom omdlałych dusz i zeschłych serc.

Polsce na złą dolę Bóg Najwyższy dał na pokrzepienie Kościół, którego interes jest na wszystkich punktach równoznaczny z interesem Polski. Więc Kościół może się oprzeć tylko na Polsce, a Polska na Kościele.

Z powyższego prawa dziejowego wynika, że my kapłani polscy w niczem swej polskości od swego katolicyzmu oddzielać nie możemy. Wszędzie i zawsze stoimy na straży spraw i interesów zarówno Kościoła jak Polski. Jako drugą zasadę, wynikającą w całości z pierwszej, przyjąć musimy, że poza Kościołem i poza obowiązkową naszą kapłańską służbą, jesteśmy nie jakąś odrębną kastą, lecz integralną, nieodłączną częścią naszego narodu, jesteśmy zarówno uprawnionymi obywatelami i równorzędnymi synami naszego społeczeństwa.

Jako obywatele musimy jak najściślej zespolić się ze społeczeństwem, wejść w jego życie codzienne, żyć jego radością i wiarą, cierpieć jego bólem i troską, przyjmować na swe barki wszystkie obowiązki na obywatelu ciążące, korzystać z praw przysługujących obywatelowi. Takie kapłańsko-obywatelskie stanowisko zajmowało duchowieństwo przez cały ciąg dziejów naszych aż do 1863 roku. Takie też stanowisko zajmuje ono dziś na zachodzie, gdzie poza służbą kościelną przyjmuje ono żywy udział w życiu publicznem,

w pracy twórczej danego narodu, głosuje, wybiera posłów, należy do stowarzyszeń.

Takiż bezpośredni udział obywatelski w społecznem i politycznem życiu przyjmuje duchowieństwo polskie w zaborach pruskim i austryackim.

Tylko w całym zaborze rosyjskim po powstaniu duchowieństwo zepchnięte zostało ze stanowiska obywatelskiego i zacieśniane wyłącznie do swej roli kapłańskiej.

Takie upośledzenie naszego stanu, podobne usunięcie duchowieństwa od wszelkiego udziału w życiu ogółu leżało w zamiarach i interesie rządu zaborczego, który dławiąc wszelkie przejawy życia publicznego w innych warstwach naszego narodu, nas przedewszystkiem otoczył tak wyrafinowaną kontrolą policyjną, poddał takiemu administracyjnemu bezprawiu, że cel swój — wyodrębnienia duchowieństwa — w zupełności osiągnąć zdołał.

Wielce pomocnym w urzeczywistnieniu zamiarów rządowych był ten przepaścisty przedział, jaki się wytworzył między inteligencyą świecką a duchowną. Myśmy między sobą o Comte'a i Darwina się żarli, a *tertius gaudens* kuł nowe wyjątkowe prawa dla zagłady całego narodu. Gdyby nie ten stan ogólnego zaczadzenia, gdyby nie to samopożeranie się wzajemnie przed frontem wspólnego wroga, nie cofnąłby ten przebiegły wróg przyszłości naszej o całe stulecie. Przy wzajemnem wyczuciu się i zrozumieniu, przy wzajemnem poparciu i współdziałaniu wszystkich współobywateli nic wskórać nie może nawet system murawiewowski. Życie jak woda, zatamowana na wierzchu pod ziemię się chowa, nowe ujście sobie żłobi, wszelkie zapory usuwa.

Litwini służą nam wymownym dowodem, do czego można dójść pod tym samym knutem, w tych samych, a nawet gorszych niż nasze warunkach ucisku. Garść tych współuczestników naszej niewoli nie miała za sobą tysiącletniej kultury, wspaniałej jak nasza literatury, geniuszów wszechświatowej sławy, a przed ćwierć wiekiem nie miała nawet gramatyki i języka literackiego. Z pod słomianych strzech tego zacnego ludu wyszli kapłani, którzy postanowili lud swój do życia narodowego obudzić. Postanowili, i w ciągu lat kilkunastu pomimo najstraszniejszych prześladowań do zdumiewających rezultatów w swej żarliwej pracy doszli. Wychowali oni ogromny zastęp inteligencyi litewskiej i dotychczas niemal wyłącznie przez duchowieństwo reprezentowanej, cały lud

nauczyli kochać swój rodowity język, dali mu lekturę nielegalną, począwszy od elementarzy a kończąc na dziennikach, drukowanych w Tylży i przemycanych w ilości kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy do kraju.

Więc, powtarzam, ucisk nie rozgrzesza naszego letargu i ogólnego znieprawienia, bo przy tym samym ucisku można było prowadzić twórczą pracę tam, gdzie panował duch Boży, a przyświecała wielka idea odrodzenia.

No, ale dość już rachunków z przeszłością. *Sursum Corda!...* Toć i nam już słońce odrodzenia świeci. Sztucznie wykopana rękami zewnętrznych i wewnętrznych wrogów narodu, przepaść między inteligencyą świecką a duchowną w czasie najkrótszym zupełnie wyrównać się musi. Mniejsza dziś o to, kto uczynił pierwszy krok w kierunku zjednoczenia tych dwóch wzajemnie się zwalczających sił. Bezsprzecznie jednak, był to akt nieobliczonej w następstwach swych doniosłości. Spojenie tych dwóch sił narodowych w jedną zwartą całość, doprowadzenie ich do wspólnego mianownika celów dążności i środków działania, stworzy taką potęgę, że całe piekło moskiewskie jej nie przemoże.

Przewidujemy, że w wyrównywaniu tej przepaści napotka się dużo chropowatości, wzajemnych rekryminacyi, podejrzeń i niechęci, nagromadzonych przez całe czterdziestolecie. Nic to. Duch Boży w naród wstępuje, naród sam w siebie wchodzi i swoją własną duszą się ożywia, naprężenie uczuć narodowych tak się co dnia wzmaga, że w ich ogniu rychło stopią się wszelkie niechęci w jedną wielką ofiarną miłość Kościoła i Ojczyzny. By zbliżyć tę chwilę upragnioną, do pracy nam kapłanom trzeba się brać, w życie się wcielać, ze społeczeństwem na wszystkich punktach jego codziennych trudów się zespalać.

Wstyd mi bywa, gdy nieraz widzę tu i owdzie ludzi świeckich, wczorajszych niedowiarków, dziś korzących się u stóp ołtarza, z jakim oni zapałem i poświęceniem pracują nad ocaleniem unitów, jak oni ułatwiają śluby i chrzty, za kordon sieroty ekspedyują. Wstyd mi nie dlatego, by praca ta nie była ich, ludzi świeckich, narodowym i katolickim obowiązkiem, lecz dlatego, że praca ta jest stokroć większym naszym niż ich obowiązkiem. Jeśli więc w tej najpilniejszej i najświętszej pracy my kapłani nie zawsze jesteśmy obecni, to cóż mówić o innych rodzajach prac społeczno-narodowych, których ogrom cały leży odłogiem przed nami.

Wszystkie te zachwaszczone ugory orać i zdrowem ziarnem zasiewać, cały nasz dorobek duchowy i materyalny wytężoną znojną pracą wzbogacać musimy, bo dziś w tym rozpędzie narodów, kto się na dzień jeden w pochodzie zatrzyma, ten daleko po za ogólnym szeregiem zostaje, a zdystansowanym po trzykroć bieda.

Oświata polityczna ludu, podnoszenie jego moralnego, umysłowego i kulturalnego poziomu, dźwiganie jego dobrobytu, obrona całego narodu przed zalewem coraz silniej rozpościerającego się na ziemi naszej prawosławia i moskwicyzmu — oto najbliższe zadania, od których spełnienia zależy przyszłość nasza. W tem sypaniu wałów ochronnych, w tej pracy twórczej odbudowania Polski po kawałku, w szeregu pracowników sumiennych a wytrwałych, obok inteligencyi świeckiej, my kapłani musimy zająć i da Bóg zajmiemy miejsce poczesne, bo w wielkiej dobie odrodzenia narodowego, nam to kapłanom przedewszystkiem wypada przodować narodowi w cnocie i ofiarności, świecić pozostałej braci wzorem poświęcenia i rozumnej pracy dla chwały Kościoła a szczęścia wspólnej Ojczyzny.

Ks. Mazur z Litwy.

SZKOŁY CERKIEWNE NA LITWIE.

WYJĄTEK Z MEMORYAŁU, ZŁOŻONEGO PRZEZ BISKUPA ZWIEROWICZA RZĄDOWI MOSKIEWSKIEMU PRZED WYDANIEM CYRKULARZA.

Memoryał ten kładziemy, jako wstęp do następującego po nim opisania sprawy X. Biskupa — po wydaniu znanego cyrkularza w sprawie szkółek cerkiewnych. Mało znany ogółowi konfratrów, barwnie wykazuje pieczołowitość i staranie X. Biskupa w celu utrzymania pod każdym względem całości powierzonej sobie owczarni.

W wileńskiej dyecezyi z przeszło milionową katolicką ludnością zarząd kraju dotychczas nie może pozbyć się mylnego poglądu o rz.-kat. duchowieństwie, opartego na smutnych wypadkach 60 lat, upatrując w niem fanatyków, wrogów rządu i cesarstwa.

Podobne poglądy podzielają niektórzy wyżsi urzędnicy państwa, przenikają one do pism (Świet. Nr. 39, 11 Lutego 1901 r.) a nawet dochodzą do wiadomości J. C. Mości (Najpod. raport Ob.

Prokuratora Swiat. Sinoda z. r.). Na skutek takich mniemań rz.-kat. duchowieństwo nadzwyczaj jest skrępowane nietylko w swej działalności, ale i w osobistych, wspólno-ludzkich prawach, co nader szkodliwie oddziaływa na dobro społeczeństwa i szkodzi interesom Kościoła i Państwa.

W 60 latach Jen. Guber. hr. Murawiew wydał czasowe przepisy dotychczas obowiązujące, które zabraniają odprawiania księżom nabożeństwa poza obrębem swojej parafii, wyjeżdżania poza obręb parafii chociażby na wieczorną herbatę w gościnę bez biletu policyi, okazywania pomocy podczas większych uroczystości z wyjątkiem jednego razu do roku, kiedy w każdym pomyślnym wypadku pozwala gubernator na 2—4 księży, odbywania procesyi naokoło kościoła, chociażby kościół był bardzo szczupły, z małymi wyjątkami, zachowywania przepisów kościelnych podczas pogrzebów, ponieważ ustanowione śpiewy poza kościołem i cmentarzem są wzbronione i t. p.

Jakież są następstwa tych rozporządzeń (przepisów). Otóż podczas świąt, kiedy się zbierają tłumy ludu, aby być u św. spowiedzi, jeden proboszcz stanowczo nie jest w stanie uczynić zadość; odprawia jutrznię, sumę, nieszpory, dodatkowe nabożeństwo, głosi kazanie, chrzci dzieci, daje śluby i t. p., pomimo to jednak większa część wiernych zostaje bez spowiedzi.

Parafie po 7—8 tysięcy wiernych z jednym proboszczem w Wileńskiej dyecezyi bynajmniej do rzadkości nie należą; jeżeli w święto wypadnie jechać do chorego w bardziej odległą miejscowość (a zdarza się i 30 i 40 wiorst w Dyśnieńskiej i Głęboskiej parafii), lud jest pozbawiony nabożeństwa. Niektórzy parafianie krępują się spowiadać przed swym proboszczem, wskutek zaś ubóstwa nie będąc w możności jechać do innej parafii często zbyt odległej, udają się do miejscowego proboszcza i na skutek wstydu dopuszczają się świętokradzkiej spowiedzi, — następstwa takiej spowiedzi są opłakane.

Księża, z wyjątkiem akademików, mogą tylko głosić kazania i to według starych (dawnych) autorów (Filepecki i Białobrzeski), wskutek czego muszą powtarzać się te same kazania. Nielepszy ma wpływ i miejscowa szkoła, w której często zmuszają katolików do słuchania religii, wykładanej przez duchownych wyznania prawosławnego, do posiłkowania się prawosławnymi podręcznikami, a o nauczaniu zasad wiary w rodzinnym języku i mowy być nie

może, a wszakże wychowanie dzieci jest najbardziej palącą sprawą, ponieważ miłość rodzicielska (rodziców) dla nich jest jednem z najsilniejszych uczuć.

Najjaskrawiej ujawnia się to w tych miejscowościach, gdzie lud mówi po litewsku, np. w Trockim lub Swięciańskim powiatach; innego języka oprócz litewskiego nie zna — jakże im trudno uczyć się zasad wiary w obcym dla nich języku. Co się dzieje w tych szkołach, dowodzi tego następujący fakt, który miał miejsce w Wileńskim powiecie, gdzie pewien pop publicznie w szkole szydził z katolickiego znaku krzyża św., nazywając naszą Komunię św. „żydowską macą“ i poglądowo przedstawił dzieciom, jak Papież (Ojciec św.) rzymski odpędza starą, jak on nazwał, gospodynię, a bierzę inną młodą i t. d.

A kiedy Biskup podał ten fakt do wiadomości p. Ministra spraw. w., pozostawiono go bez odpowiedzi, lecz gdy ksiądz katolicki broni przepisów kościoła katolickiego, niezakazanych przez prawo, uważany jest za fanatyka i podlega karze, jak to miało miejsce w Żyżmorach z ks. Raczkowskim. Lud widzi to i rozumie i powoli zaczyna sarkać na Rząd, co dla nikogo bynajmniej nie jest pożądanem. Duchowieństwo jest obciążone nadmierną pracą, np. w parafii Sumieliszkach, gdzie znajduje się 7547 katolików, w Hanuszyszkach — 7084, Omach — 6032, Wasiliszkach — 10160, Dominowach — 7000, Wołkołotach — 7508 i w wielu innych jest po jednym księdzu, a 4—5 tysięcy na jednego bynajmniej nie rzadkość, gdy zaś Biskup poczynił starania o powiększenie liczby alumnów w Seminaryum, otrzymał odpowiedź odmowną i liczba 90 wychowańców w Seminaryum przekroczoną być nie może. Niedawno Minister zezwolił na przyjęcie jeszcze 10 wychowańców (uczniów), lecz liczba to tak nieznaczna, że zupełnie nie zwraca uwagi (zostaje niepotrzebna).

Wypadki śmierci dzieci niechrzczonych, a starszych bez namaszczenia olejami św. do rzadkości bynajmniej nie należą, a czy to może wywierać dodatni wpływ na ludność? Jeżeli ksiądz wyjeżdża ze swej parafii na 3—4 godzin, obowiązany jest otrzymać na to bilet (pozwolenie) od sprawnika, co wskutek odległości jak np. od Głębokiego do Wityk ciągnie się całe tygodnie, jeżeli zaś ostateczność zmusi księdza wyjechać bez pozwolenia, jest on uważany za *niebłagonadiożnego.* Wskutek tego zdarzają się bardzo smutne fakty; np. niedawno Lidzki sprawnik zagroził aresztem księdzu,

którego Biskup wezwał do Wilna w interesie kościoła, za to, że ośmielił się osobiście prosić o bilet. lub np. 22 sierpnia t. r. w Wilnie „uriadnik“ aresztował niewinnych wychowańców, między którymi był także dyakon, podczas zamiejskiego spaceru zwyczajnego za to, że nie mieli biletów, i w asystencyi tłumu ciekawych odprowadził kleryków do cyrkułu pristawa, mówiąc: „Mój pristaw kozak, kuzyn Murawiewa, — on was nauczy przed uriadnikiem czapkę zdejmować i całować mu ręce“. Charakterystyczne, że kiedy biskup wskutek takiego oburzającego zajścia napisał do Wileńskiego Gubernatora, ks. Gruzińskiego, nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Bezpodstawne denuncyacye na księży przez niższe władze policyjne częstokroć wskutek osobistych korzyści lub uraz zdarzają się bardzo często; wówczas świadków księdza nie przesłuchują, śledztwo prowadzi policya tajna; zdarza się, że ksiądz dowiaduje się o swojej winie dopiero po nałożeniu mu kary. wtrąceniu do klasztoru lub zesłaniu.

Prawdziwem dobrodziejstwem byłoby oddawanie podobnych spraw pod rozpatrzenie władzy sądowej, gdyż wówczas wiele wyszłoby na jaw. Przy naznaczaniu księży zdarza się czekać całe miesiące na zezwolenie gubernatora, bez którego nawet wyświęcony już ksiądz nie ma prawa mszy śpiewanej odprawiać. Przyczyną, dla której odmawia mu zatwierdzenia, może być *niebłagonadieżnost,* oparta li tylko na wyjeździe ze swej parafii bez pozwolenia.

Powody, dla których gubernator nie zatwierdza kandydatów, nie bywają wyjaśniane, wskutek czego wyłącza się możność wyjaśnienia sprawy. Nawet Biskup w obrębie dyecezyi nie może wyjechać w interesie kościoła bez pozwolenia gubernatora, również nie może karać występnego księdza (np. ks. Wilczyński) jeżeli zaś to uczyni, wówczas gubernator przyjmuje stronę winnego, wskutek czego wynika wiele nieprzyjemności (np. ks. Sobolewski). W kwestyach, dotyczących bezpośrednio duchowieństwa i religii, nawet sprawnicy odnoszą się bezpośrednio do księży, nie mówiąc już o gubernatorze. Czasami wymaga się od Biskupa rzeczy wprost ubliżających, np. jen. gubernator zezwala Biskupowi na objazd dyecezyi pod warunkiem, iż tenże sam będzie wstrzymywał lud od oddawania przynależnych mu hołdów. Zdarza się, że przyobiecane w zasadzie, w praktyce nie wykonywa się zupełnie: np. minister spraw wewn. zawiadomił Biskupa, iż klasztory nigdy nie

będą zamykane, a tylko podlegają kontroli jen. gubernatora, a więc kandydaci mogą wstępować, tymczasem dotychczas pomimo usilnych starań żadnemu z kandydatów nie dozwolono wstąpić.

Za drobne przykłady anormalnego stosunku władzy do Biskupa mogą posłużyć następujące fakty: Stawianie krzyżów z nietrwałego materyału na zasadzie 596 par. ust. i roz. praw. Budowa i restauracya kościołów według najwyższego ukazu powinny mieć napis na zasadzie I. cz. X. t. Zb. Pr. tymczasem obecny gubernator grodzieński, ks. Urusow, ma za złe księżom poświęcanie krzyży, odnawianie kościołów bez jego pozwolenia i żąda aby to w przyszłości się nie powtarzało, nie zważając na takie ignorowanie przez gubernatora, Prawa i Najwyższej woli.

Gdy Biskup zwrócił się w tej kwestyi do ministra spraw wewnętrznych, otrzymał odpowiedź, iż minister w zupełności pochwala postępowanie gubernatora. Duchowieństwo bywa oskarżane, że zbyt szeroko skorzystało z najwyższego ukazu, tyczącego się budowy i odnawiania kościołów. Na 1,365.830 katolików w Wileńskiej dyecezyi są tylko 283 kościoły, między którymi 122 drewniane, budowane (wzniesione) przed 300, 400, a nawet 500 laty. Za przykład, gdzie budują się kościoły: Kobylnik, parafian 5182, kościół stary, drewniany, wzniesiony w 1651 roku; Święciany, parafian 16724, był kościół drewniany zbudowany w 1648 roku, nie mógł pomieścić $^1/_3$ parafian; Twercz, parafian 8474, mały drewniany kościół, mieści nie więcej jak 300 do 400 ludzi; Zośle, parafian 10986, drewniany kościół, zbudowany w 1459 roku; Wileńskiej, parafian 10160, stary drewniany kościół, zbudowany w 1483 roku; Dąbrowa, parafian 11438 drewniany kościół zbudowany w 1595 roku i t. d.

Cyfry te jasno wykazują, że Duchowieństwo, korzystając z Najmiłościwszej Woli Monarszej, wykonywa tylko rzeczy niezbędne, tembardziej niezbędne, gdy zwrócimy uwagę, że przy jen. gubernatorze Murawiewie skasowano więcej niż 100 kościołów.

Duchowieństwo z Biskupem na czele, widząc wiele niepożądanych obyczajów przenikających do ludu, wzbudzających szmer niezadowolenia, sprawiedliwie żąda większej swobody, skasowania czasowych rozporządzeń z 60 lat. Że większa swoboda jest możliwa, dowodem tego przykład S.... i Łucko Żytomierskiej dyecezyi, gdzie takowa (swoboda) istnieje i nikt jej nie nadużywa, jeszcze lepszym przykładem jest Rosya, gdzie przy zupełnej swo-

bodzie daje się widzieć katolików-Polaków, żyjących w zupełnej przyjaźni i braterskiej miłości z Rosyanami, chociaż nikt nie wyrzeka się swej wiary i narodowości.

Rzymsko-katolickie duchowieństwo nie jest bynajmniej wrogiem rządowi, lecz tylko tym osobom, które zajmują wybitne administracyjne stanowisko i nadużywają zaufania rządu dla swych osobistych celów, zasług i odznaczeń i przedstawiają rzymsko-katolickie duchowieństwo i wszystkich katolików, jako nieprzejednanych fanatyków, co w rzeczy samej zupełnie nie istnieje.

My chcemy święcie przechowywać uczucia wiary i narodowości, te nieodłączone prawa każdego człowieka, ponieważ tylko z niemi dobrymi i wiernymi poddanymi jakiegokolwiekbądź państwa, a więc tylko żywiąc te uczucia, będziemy wiernymi poddanymi obecnie szczęśliwie nam panującego Monarchy, który nikogo nie pozbawia tych uczuć, Najmiłościwiej głosząc przy wstąpieniu na tron, że zadaniem Jego jest zapewnienie szczęścia wszystkim swoim wiernym poddanym.

SPRAWA X. BISKUPA ZWIEROWICZA.

Gdym wziął pióro do ręki, by rzucić na pastwę krytycznych umysłów garść poniższych spostrzeżeń i uwag, ni stąd ni zowąd przypomniałem sobie piękne, choć Tetmajerowskie zdanie: „Wydaje mi się, że słyszę obrót całej tej wielkiej maszyny, której Bóg jest budowniczym i maszynistą wiecznym. Kręcą się na osiach planety i słońca, wszystko idzie po swoich drogach...“ I mnie się to samo zdaje, gdy patrzę na zdarzenia nieprzebrzmiałe jeszcze, owszem — rozpoczęte zaledwie tak smutnym na pozór faktem, jakiem było wywiezienie Biskupa. Dziś sprawa na tyle się uwypukliła, że nawet oko nie uzbrojone w teleskop wiary dojrzy tajemniczą rękę wielkiego Maszynisty, widocznie zda się grupującą wypadki ziemi „pagórków leśnych...“ Przypatrzmy się rzeczy bliżej.

Wystrzał alarmujący sumienia katolickie padł 12 lutego... Na razie zadziwił wszystkich, z wyjątkiem naturalnie tych, którzy bliżej znali Biskupa. Wiary po prostu nie dawano, żeby mógł paść z drżącej jak mniemano ręki starca. I nagle ten przed niedawnym czasem błotem obrzucany „prawie renegat“ wyrasta na bohatera nie chwili — lecz historyi! Tu i ówdzie jednak odzywają się głosy

niezadowolenia. Ten nasz biskup, prawią niektórzy, był i jest połowicznym... Nie byłoż to jednym cięciem załatwić się z hydrą? Nie należałoż nakazać odczytania cyrkularza z ambon? Nie należałoż przynajmniej zagrozić duchowieństwu karami kościelnemi w razie niezastosowania się do rozporządzenia? Teraz widzimy doskonale, że — nie należało. Biskupowi chodziło, żeby okólnik miał znaczenie prawne wobec rządu, więc musiał go wydać w języku państwowym, gdyż, jak wiemy, tylko w tym języku zredagowanym dokumentom rząd przydaje wagę. Pomyślmy teraz, proszę, jakby to wyglądało pośrednie przemawianie katolickiego biskupa z ambon moskiewszczyzną? Gdyby nawet i tę trudność usunąć, to i tak obywać się bez obszernych i dosadnych komentarzy było fizycznem niepodobieństwem wobec prymitywnej ciemnoty naszego chłopka. Komentarze zaś mogłyby mówców zbyt daleko zaprowadzić, a w każdym razie nazbyt rozdrażnić wilka, który mimo, że jest zewsząd skubanym, na wszystkie strony zęby szczerzy i kąsać dotkliwie potrafi, jak to wreszcie zrobił, nawet w samym cyrkularzu gładzony po szerści... Drugi zarzut — dlaczego mianowicie Biskup nie zagroził księżom karami w razie przewidywanego oporu lub opieszałości — robili przeważnie ci, co mając w pamięci świeże jeszcze „Listy księdza do księży“, zbyt jednostronnie patrzyli na aktorów dramatu, chcieliby więc opresyą ich gwarantować powodzenie sprawy. Pasterz jednak lepiej widocznie znał pracowników swej winnicy, kiedy więcej liczył na ducha, niż na siłę. No, i jak wiemy, nie zawiódł się. Tylko perspektywa losu Martyniki powstrzymywała Moskali od pozbawienia wiernego ludu katolickiego kilkunastu najgorliwszych kapłanów. Ale o tem potem. Przypatrzmy się losom sprawy po wystrzale. Jeszcze cyrkularz nie trafił pod wszystkie strzechy plebańskie, a już go Moskale mieli w swych łapach. Jaką drogą to się stało, trudno stanowczo wyrokować. Nie przypuszczamy jednak, by i w tym razie Judaszem był kapłan, najprawdopodobniej ma tu miejsce wypadek.

W mieszkaniu ks. Wincentego Dojniaka, mansyonarza przy kościele św. Rafała, w czasie jego nieobecności w domu, robiono rewizyę z racyi lokaja, podejrzanego o fałszerstwo monet. Trzeba wypadku, że na stole leżał świeżo przyniesiony z poczty cyrkularz biskupi.

Ciekawy inkwizytor rzucił nań okiem, a zwąchawszy pismo nosem, schował do kieszeni. Nie zaręczamy, że kieszeń inkwizy-

tora, to jedyna droga, którą okólnik dostał się na stół gubernatorskiej kancelaryi; przebąkiwano tam coś o innej, lecz tylko przebąkiwano, kiedy przytoczone zdarzenie nie ulega wątpliwości... Bądź co bądź — Petersburg prędzej wiedział o cyrkularzu, niż jakiś tam proboszczysko z zapadłego kąta dyecezyi... Lada dzień oczekiwano piorunu... Idę ulicą, chwyta mnie za połę płaszcza żebrak. Sądząc, że chodzi mu o jałmużnę, sięgam po sakiewkę. „Ależ nie, księże, ja nie tego, jeno słyszałem, że Biskupa wywożą..." „Nie wywożą — ale wywiozą", odpowiedziałem, gdyż wówczas mimo, że pewnych danych nie było, wszyscy byli tego przekonania. „O, my nieszczęśliwi!" jęknął, i poszedł alarmować suteryny i poddasza...

Nareszcie dawno spodziewany piorun uderzył: Biskupa wzywają do Petersburga „w sprawach służby". Przeczucie mówiło wszystkim, co to znaczy. „W sprawach służby" jeździł Krasiński, jeździł Hryniewiecki... A czy ma pojechać Zwierowicz? Może się oprzeć, a przynajmniej przeczekać burzę? Te myśli wszystkim rozsadzały głowy. Pasterz jednak rozumiał, że do wielkiego dokumentu, jaki kartom historyi przekazuje, potrzebną jest również majestatyczna pieczęć, że jeżeli sam dokument dla wielu może być niezrozumiałym, to, gdy będzie z pieczęcią, zrozumie go każdy, a przedewszystkiem chłop, o którego przecie najbardziej chodzi. Więc choćby pieczęcią miała być śmierć sama, nie zawahałby się ani na chwilę...

Wyjazd sam naznaczył po tygodniowej zwłoce na wieczór 28 marca... Zwlekał, nie żeby się miał wahać, lecz jedynie, że nie chciał się uniżać *usque ad finem,* chciał natomiast stwierdzić, że z dawną polityką zrywa nazawsze... Niech mi, jako naocznemu świadkowi, wolno będzie skreślić w kilku słowach pełną grozy i majestatu chwilę wyjazdu: Dnia ostatniego miał Pasterz Mszę św. w Ostrej-Bramie. Mimo, że nie rozgłaszano o tem, ludu napłynęły fale. Tam przyszły wygnaniec, czując, że ciężkie go czekają próby, żebrał o ducha mocy dla siebie, żebrał o opiekę nad owczarnią, którą „synowskim ogarnął żalem". O południu miał się pożegnać z księżmi. Z bijącem sercem patrzyły sunące ulicami tłumy na przemykające się ku biskupiemu pałacowi czarne sylwetki kapłanów. Sala portretowa zapełniła się po brzegi prawie. Ze ścian spoglądają brodate i wygolone, a wszystkie godnością nacechowane twarze poprzedników dzisiejszego bohatera. Wreszcie

ukazuje się i on sam. Zwykle łatwy do rozczuleń, w tej chwili pełen jakiejś dziwnej mocy, która bije i ze słów i z całego zachowania się jego. Wszyscyśmy na to zwrócili uwagę. Mówił krótko, a jędrnie, o wielkiej miłości Chrystusowej i o wielkich dla niej ofiarach, przeplatając mowę swoim ulubionym świętym Pawłem. Ten i ów z młodszych łzy ociera, lecz z twarzy większości wyczytać można jeno stoicką zaciętość w ogniu walki zdobytą. Pożegnanie zakończyło odmówienie w pałacowej kaplicy *itinerarium.* I znowu na ulicę wypłynęły czarne płaszcze, a od nich kir żałoby padł na wszystkie twarze wiernych... Kilka godzin przed wyjazdem tłumy, mimo zakazu wszelkich zbiorowisk, szczelnie zapełniły plac przed pałacem biskupim i zwartą masą płynęły ku Ostrej-Bramie, a stamtąd na dworzec. Rząd był na tyle względnym, że Biskupowi i odprowadzającym go księżom oraz inteligencyi wyznaczył osobną salę. Za to ludu zupełnie nie puszczano na peron. Wielu, by uzyskać to prawo, kupowało sobie bilety kolejowe do najbliższej stacyi Wilejki, lecz wreszcie i biletów wszystkich trzech klas zabrakło. Byli i tacy, co sobie pięściami torowali drogę. Cały plac za peronem utkany był głowami, które na każdy turkot zwracały się w stronę Ostrej-Bramy... Sala biskupia napełniła się również. Jakaś moskiewka, ciekawa widocznie, jak wyglądają „carskije osłuszniki" i ich główny naczelnik, przykucnęła w kąciku pod opieką żandarmskiego pułkownika, który z pewną miną przechadza się pomiędzy zebranymi. Przyszło mu nareszcie do głowy wchodzącego Prałata ks. Wiktora Frąckiewicza, byłego wygnańca, zapytać, kto zacz... Ośmieliła go widocznie niepocześnie wyglądająca, bo przygarbiona nieco i owinięta w szal figura w nasuniętym na czoło kapeluszu. Odpowiedź jednak, jaką usłyszał, tak go zdetonowała, że zapomniał języka w gębie i, grzecznie się ukłoniwszy, odszedł. A tym czasem do drzwi dobijają się coraz to nowi goście... Cerberzy moskiewscy nie są na nich łaskawi... Mimo to pewnemu doktorowi udaje się przeszwarcować kilkanaście pań i panien. Tłumy na peronie i z tyłu huczą... W tem rozlega się jeden ogromny, przeciągły wrzask, czy jęk, albo lepiej huragan płaczu, sam nie wiem doprawdy, jak to określić, dość, było w tem tyle bólu i prawdy, że owi nawet stoicy powiekami napróżno łzy zatrzymywali... Weszła niska, we fioletach, postać Biskupa. W twarzy ta sama stanowczość, co i przy pożegnaniu z nami w sali portretowej. A tłumy wciąż huczą i huczą, dziwnie

huczą. W sali tłum ma jednę tylko przedstawicielkę — służącą kolejową. Przytuliła się do ściany w dużym białym fartuchu i zcicha łka. Podeszła do niej zwierzchniczka widocznie, i z miną filuterną a złośliwą pyta: „Czego ty durna płaczesz?“ Dziewczyna nic, jeno z cicha łka. Wreszcie straciłem ją z oczu. Nagle w sali zrobiło się pewne poruszenie, wszystkich oczy zwrócone na dziewczynę w białym fartuchu, klęczącą u stóp Pasterza... Tłumy mogą być rade ze swej przedstawicielki... W sali i na dworze zapanowało smutne, przygnębiająco smutne milczenie... Dzwonek... Wszyscy drgnęli... Nie, to nie ten jeszcze... Znowu milczenie... Dzwonek... To już ten! Z sali bialuchny starzec w otoczeniu duchowieństwa chce wyjść... Za drzwiami tłumy się szamocą, przewalają... Trzeba czekać... Suchy trzask, drzwi stoją otworem. Znowu ten sam huragan płaczu wielki i długi... Biskupa lud nie puszcza... Usłużni cerbery rozpychają tłumy, droga zrobiona... Biskup w wagonie... Znowu cisza, przytłaczająca cisza. Ostatni dzwonek... Tu już płacz pomieszany z okrzykami: „Niech żyje Kościół i wiara katolicka!... Pasterzu, kiedy nam wrócisz?“ zagłuszają gwizdawkę. Pociąg powoli rusza, lecz skarga tłumów długo jeszcze nie milknie... W górze kotłują się szare chmury, pruszy drobny deszczyk... Rzekłbyś, samo Niebo daje nam chrzest cichego męczeństwa. Samotny instynktowo wracam, nic i nikogo po drodze nie widząc... Wtem natknąłem się na jakąś ciżbę... Co to? Rozglądam się — Ostra-Brama! Aha, rozumiem! Jedni klęczą w błocie, inni stoją, a wszyscy łkają... Zabrzmiała pieśń, zrazu cicha, urywana, potem potężna i jakoś groźna... A na głowy śpiewających wciąż pruszy drobny deszczyk...

I odtąd zaczęły się znowu długie dni oczekiwania. A może wróci? W kościołach odprawiają się msze prawie na tę tylko intencyę... Mija pięć dni... Idę ulicą Wielką na mszę św. do Ostrej-Bramy... Jest jeszcze godzina ósma, wszystkie sklepy pozamykane... Co chwila muszę uchylać czapki i odpowiadać na „Pochwalony...“ Stójkowi w dzień obawiając się widocznie utracenia „błahonadiożnosti“ przechodzą zwykle obok księży obojętnie, teraz widząc, że ich nikt nie śledzi, spiesznie uchylają czapek, a ten ów pobrząkuje różańcem... Mijam kiosk z gazetami... w tem dochodzi mnie głos: „księże, księże — ciekawy numerek, tylko co z poczty: sprawa Biskupa...“ Wracam. W każdym innym razie wybrałbym którego ze swoich „kuryerów“, bo i te od lat kilku

mają debit na ulicach Wilna. Ale sprawa Biskupa... kupuję!... Ile? — 25 kop. — brzmi odpowiedź. Cena w kwadracie! Za dni kilka płacono dziesięć razy tyle. Przewracam i w dziale korespondencyi znajduję przedruk cyrkularza biskupiego z banalną uwagą o mahometańskim fanatyzmie katolickiego duchowieństwa... Nazajutrz przemyślny kioskarz wsadził mi w ten sam sposób numer plugawego pisemka p. Kostomarowa. Ten szczekający wróg polskości i katolicyzmu poświęca okólnikowi aż cały wstępny artykuł również z przytoczeniem *corporis delicti*. I teraz carosławna tyrada p. Kostomarowa tyle tylko ma wspólnego z mową ludzką, że się jej autor posługuje słowem ludzkiem. Przekonajmy się choćby z konkluzyi: „Mówiąc otwarcie, dawnośmy nie czytali takiej mięszaniny chytrej kazuistyki z kłamstwem, dawnośmy nie spotykali tyle zręcznego przekręcania faktów, takiego obracania prawdy w nieprawdę i takiej wyraźnej dążności obudzenia niezadowolenia i nienawiści tam, kędy wszystko wśród ludności robiło się pokojowo i szczęśliwie. Tem więcej dziwić się należy, że przytoczony akt pochodzi od osobistości państwowej, biskupa, chociaż i rzymsko-katolickiego, zawdzięczającego przecie całą swą moc i znaczenie temu rządowi, przeciwko któremu on obecnie powstaje, przekraczając granice swej władzy“.

Komentarze są chyba zbyteczne! Mimo to wdzięczni jesteśmy panom redaktorom! Łaskawa Opatrzność zrobiła z nich na chwilę predykantów katolickich. Szerokie masy wiernych w ten przynajmniej sposób dowiedziały się za jakie to „przekręcania prawdy w nieprawdę“ wysłano Pasterza. Rozumiał to, widocznie lepiej od od moskiewskich gazeciarzy i cenzorów, smutnej pamięci minister Sipiagin, kiedy nie mógł tego darować sobie i im, a w końcu Pasterzowi za jego rzekomy w wydrukowaniu udział. A tymczasem wierni odczytują sobie cyrkularz i modlą się i — czekają... Nadchodzi wreszcie bolesna wiadomość, tem boleśniejsza, że w przeddzień otrzymano telegram o „zadawalającym stanie zdrowia chorego“. Wyrok poprzedziły zwykłe w takich razach moskiewskie obiecanki w razie odwołania cyrkularza. Pasterz na wszelkie pokusy pozostał niewzruszonym, mimo, że poważne głosy przemawiały za odwołaniem. Rozumiał to dobrze, że krok taki równał się publicznemu przyznaniu się do niepopełnionej winy, rozumiał całe jego fatalne następstwa. Wolał więc Twer, 1200 rubli rocznej pensyi, niż swobodne zamieszkiwanie w którémkolwiek z miast

Rosyi, z wyjątkiem kraju Zabranego, i 6000 r. Charakterystycznem i godnem zanotowania jest zachowanie się Pasterza przy rozmowie z ministrem spraw wewnętrznych, Sipiaginem, bo kiedy ten ostatni, widząc, że obiecanki i pieniądze nie pomogą, zrobił uwagę, że za przyszłość nie ręczy, Pasterz odpowiedział; „Naturalnie — macie siłę — możecie tutaj zrobić ze mną, co się wam podoba, ale — tu Biskup zrobił odpowiednie poruszenie palcem — tam — wskazał ku górze — sprawiedliwości stanie się zadość!“ Interlokutorzy nie przypuszczali wówczas, żeby już tu sprawiedliwości poniekąd stało się zadość. Nadchodzi wreszcie bolesna wiadomość do Wilna.

I znowu znalazły się głowy, w których poczęło świdrować niezadowolenie. Jęto pytać dlaczego puszczono biskupa i złośliwie przebąkiwać o prałackich nadziejach. Gdy jednak główny sprawca chwili przełomowej w całym dramacie, Sipiagin, padł przeszyty kulą, gdy dwaj pierwszorzędni aktorzy, Wileński i Grodzieński, opróżnili scenę, zrozumiano myśl wielkiego dramaturga i poczęto szeptać: *Digitus Dei est hic!*

Teraz uwaga wygnańca z nad Wołgi i drżąca obawa rodaków i oczy całego świata katolickiego zwróciły się na arenę zapasów i poczęły patrzeć, jak też tak świetnie rozpoczętą przez Pasterza walkę poprowadzą jego podwładni. Patrzał i Neronek wileński, a nie słysząc znanego: *Morituri te salutant!* jeno jedno wielkie: *Pro Christo et Polonia!* zrozumiał, że ma do czynienia nie z niewolnikami, lecz bohaterami. Pomny jednak dawnej swej mocy, nie daje za wygraną i wołając: *sic volo, sic jubeo!* domaga się kapitulacyi. Znowu czeka i patrzy, aż tu te same: *Pro Christo et Polonia!* Słowa te najgłośniej i najzrozumialej płyną z ust starego, a wytrawnego szermierza, uczestniczącego jeszcze w kampanii przeciw rytualistycznej, z ust księdza Konstantego Majewskiego, rektora kościoła św. Stefana w Wilnie. Dziś jeszcze w rękach każdego prawie księdza znaleść można jego ówczesne rozprawy apologetyczne z rządem i konsystorzem. Głos, co przed 30 laty dzwonił na trwogę, dziś nic nie stracił na swej mocy. „Wolę, pełniąc obowiązek sumienia, gasnąć w kopalniach Sybiru, wolę dusić się w podziemnem więzieniu, wolę nawet skonać na szubienicy, aniżeli szukając na wzór konsystorza, wrzekomym rosyjskim patryotyzmem rząd i naród oszukiwać a zarazem własne sumienie. *Melius est enim mihi mori; quam ut gloriam meam quis evacuet!*

(Cor. IX., 15) wołał trzydziestoletni wówczas kapłan. Dziś to już starzec pochylony, nie tyle może pod krzyżem lat, ile pod krzyżem ciągłych doświadczeń, których mu rząd nie szczędził. A jednak ten starzec ma jeszcze tyle mocy ducha, by na łamach *Roli* i *Przeglądu katolickiego* karać sobkowstwo i wyzysk. Ten starzec, który potrafił, będąc rektorem seminaryum, mimo obecności dygnitarzy moskiewskich, stuknięciem kija przerywać egzamina z państwowych przedmiotów, gdy mu dokuczyły krakania kruków rządowych, i teraz kijem konsekwentnych dowodów przerywa gubernatorskie krakanie. Posłuchajmy go!

„Z racyi otrzymanego przezemnie cyrkularza Jaśnie Wielmożnego Pana z datą 2 kwietnia pod Nr. 1477, poczytuję sobie za obowiązek wytłómaczyć co następuje:

1) Zgodnie z wiarą i nauką rzymsko-katolickiego Kościoła hierarchię kościelną ustanowił sam Pan Jezus Chrystus, Biskupi zaś, jako prawni spadkobiercy Apostołów, władzę duchowną odbierają bezpośrednio od Boga w chwili naznaczenia ich Pasterzami danej dyecezyi przez najwyższego Pasterza katolickiego kościoła, Papieża.

2) Według gruntownego orzeczenia kościelnych kanonów. Biskup w żadnym razie nie może podlegać sądowi zależnych odeń kapłanów, do których znowu nie należy prawo korygowania lub zmieniania jego orzeczeń i postanowień!

3) Sądowi władz państwowych Biskup narówni z resztą podwładnych podlega, lecz tylko w państwowych cywilnych lub kryminalnych wykroczeniach.

4) W rzeczach o charakterze religijnym, jak nadużycie przez Biskupa powierzonej mu władzy duchownej *(iurisdictio)*, w formie naprzykład zmniejszenia władzy kapłanów przy administrowaniu przez nich Sakramentu Pokuty, lub też w formie złamania praw rodziców i opiekunów przez wzbronienie im posyłania dzieci i wychowańców, by ich kształcono w duchu prawosławnej wiary itd., jedynym prawnym i kompetentnym sędzią Biskupa może być Papież. Tylko jego wyrokom winniśmy dać wiarę, że Biskup władzy nadużył a czyjekolwiek prawa są złamane.

5) Tylko Papież mocen jest rozerwać duchowny węzeł, który łączy w jedną całość wszystkich katolików i kapłanów pewnej dyecezyi z Biskupem, a przezeń z katolickim Kościołem.

6) Wskutek tegoż związku, przy Biskupie, bez względu na niedobrowolną choćby zmianę przezeń miejsca pobytu, zostaje

jurysdykcya nad dyecezyą i wszystkie jego rozporządzenia trwają w całej swej mocy dotąd, aż ich nie odmieni Papież.

7) Do administrowania Sakramentu Pokuty niezbędną jest dla kapłana jurysdykcya.

8) Żaden kapłan znikąd inąd nie może otrzymać owej jurysdykcyi, jak li tylko od Biskupa.

9) Biskup mocen udzielać ją kapłanom lub odmawiać, może ją powiększyć lub zmniejszyć odpowiednio do swego sądu. Wszyscy tedy kapłani pewnej dyecezyi pełnią swoje kapłańskie obowiązki na mocy i w rozmiarach władzy i przepisu, udzielonego im przez Biskupa, chociaż takowy usunięty od zarządu dyecezyą. Tylko pod tym warunkiem nie przestają zostawać w łączności z katolickim Kościołem.

10) Gdyby ktokolwiek z nich, tłómacząc się faktyczną nieobecnością Biskupa, śmiał przekroczyć nakreśloną mu granicę — śmiał rozgrzeszać na spowiedzi tych, co do których Biskup nie dał mu władzy rozgrzeszania, to takie jego czyny w obliczu Kościoła i przed Bogiem są nieprawne *(illegitimae)*, świętokradzkie *(sacrilegae)*, żadne *(nullae)* i nie mają żadnej mocy. Taki kapłan jako zdrajca Kościoła *ipso facto* rozrywa duchowny węzeł (n. 5, 6) z Biskupem, a więc i z katolickim Kościołem. Taki staje się członkiem zgangrenowanym katolickiego Kościoła, nie jest już katolickim kapłanem, ponieważ się znajduje pod kościelną suspensą.

Taki traci prawo do pełnienia kapłańskich czynności, a gdyby je, nie bacząc na to, pełnił w dalszym ciągu, to jeśli nawet czynność jest tego rodzaju, że nie wymaga jurysdykcyi, staje się jednak świętokradzką i nieprawą *(sacrilegum et illegitimum)*, kapłan zaś ściąga na siebie ostatnią kościelną karę *irregularitatem*, czyli nie jest więcej zdolnym do piastowania godności kapłańskiej i nawet po pokucie przechodzi do rzędu osób swieckich.

Rzeczą więc jest widoczną, że kto sobie nie ceni jedności z katolickim Kościołem, ten bez wahania wypełni ogłoszone w cyrkularzu Jaśnie Wielmożnego Pana żądanie byłego ministra spraw wewnętrznych, komu zaś jedność Kościoła i obowiązek sumienia droższymi są od czasowych powodzeń i dostatków tej ziemi, ten wybierze wygnanie lub inną karę".

Sapienti sat!

Inną nieco drogą poszedł hrabia Urusow, gubernator grodzieński, bo kiedy jego towarzysz wydał walkę ogółowi ducho-

wieństwa, ten — uderzył na dowódców — dziekanów. Przytaczamy jego urzędowe pismo ze względu na to, że niezłą jest ilustracyą zachowania się księży i wiernych wobec rozporządzenia biskupiego.

URZĘDOWE PISMO GUBERNATORA GRODZIEŃSKIEGO Z DNIA 6 KWIETNIA 1902 ROKU DO DZIEKANA GRODZIEŃSKIEGO.

Doszło do naszej wiadomości, że w ostatnich czasach prawie we wszystkich powiatach powierzonej mi gubernii niektórzy miejscowi księża zajęli jawne wrogie stanowisko przeciwko szkołom cerkiewno-parafialnym i szkołom elementarnym, przekładając swoim parafianom, iż posyłanie dzieci katolickich do tych szkół, mających jakoby na celu wyłącznie wychowanie podrastającego pokolenia w duchu prawosławnym, jest równoznaczne zdradzie przekonań katolika i odstępstwem od rzymsko - katolickiej wiary i Kościoła. Wobec takiego to niby szkodliwego wpływu szkół cerkiewno-parafialnych na ludność katolicką, wielu księży zabrania swym parafianom posyłać dzieci do wymienionych szkół, grożąc niespełniającym tego zakazu odmówieniem rozgrzeszenia na spowiedzi. Wskutek takiej działalności księży, którzy pozwalali sobie publicznie wygłaszać w kościołach kazania w tym kierunku, w licznych wsiach i miastach grodzieńskiej gubernii katolicy zaprzestali posyłać swe dzieci do cerkiewno-parafialnych szkół, w niektórych trzeba było zaprzestać nauczania wskutek ustąpienia większości uczniów. Miały miejsce nawet czyny gwałtu, wymierzone przeciw cerkiewno-parafialnym szkołom ze strony miejscowej katolickiej ludności, podburzanej do tego przez księży. Tak naprzykład, z pewnej szkoły katolicy dwukrotnie zrywali znak szkoły, przyczem czynowi temu towarzyszyły dobitne przejawy nienawiści do prawosławia.

Uznając za konieczne powzięcie jaknajbardziej stanowczych kroków ku natychmiastowemu ukończeniu tyle szkodliwej działalności księży miejscowych, działalności, która już wywołała jawne zaburzenia, a może doprowadzić do jeszcze smutniejszych następstw, uważam za konieczne przedewszystkiem zwrócić uwagę Waszej Wielebności na to, że szkoły na równi z resztą zakładów naukowych cieszą się opieką J. Ces. Mości i dlatego wszelkie wystąpienie przeciwko tym szkołom są protestami przeciwko rozporządzeniom władzy wyższej, dążącym do rozerwania oświaty zarówno

wśród prawosławnej jak i katolickiej ludności, do którego to celu dążą cerkiewno-prawosławne szkoły.

Niezależnie od tego, wybór tej lub owej szkoły dla kształcenia dzieci jest kwestyą czysto rodzinną i rozstrzygnięcie pytania, do jakiej szkoły dziecko posyłać należy, jest obowiązkiem rodziców lub opiekunów, którzy pod tym względem muszą być wolni od wszelkiego postronnego wpływu, dlatego też zakaz przez księży swym parafianom kształcenia dzieci w cerkiewno-parafialnych szkołach pod straszną dla każdego prawego chrześcijanina groźbą (utraty) nieotrzymania rozgrzeszenia na spowiedzi oraz wszelkiemi innymi przymusowymi środkami, winny być uważane jako pogwałcenie praw rodziców i opiekunów.

Wreszcie rozmyślna agitacya księży wśród ludności na powyżej wskazanem prawie nietolerancyi religijnej i nienawiści do prawosławia w zupełności nie odpowiada wysokiemu powołaniu pasterskiemu pielęgnowania i szerzenia w sercach swych owieczek cnoty chrześcijańskiej, pokory i miłości bliźniego.

Wobec powyższego, upraszamy Wielebnego o zwrócenie uwagi księży powierzonego W. Wielebności dekanatu, że wszelka z ich strony jawna agitacya, skierowana przeciw parafialnym szkołom, publiczne wygłaszanie kazań w kościołach na niekorzyść tychże, tembardziej podburzanie w jakiejkolwiek formie do demonstracyjnego przejawu nienawiści ku cerkiewno-prawosławnym szkołom i czynów gwałtu, celem zamknięcia wyż wymienionych szkół, nie mogą być tolerowane i wszelkie jawne nielegalne wystąpienia ze strony katolickiego duchowieństwa będą surowo przezemnie prześladowane.

Na oryginale podpisano: Gubernator *K. N. Urusow.*

Pan gubernator, jak widzimy, starał się być przekonywającym, mimo to i jego dowodzenia i pogróżki nie były w stanie podziałać na umysły „fanatycznych“ księży. Czterech dziekanów nie raczyło mu wcale odpowiedzieć, choć co prawda nie powiemy, żeby owo milczenie było pożądanem, pięciu zaś energicznie wykazało bezsensowność gubernatorskich żądań! Na szczególniejszą naszą uwagę zasługuje odpowiedź ks. Anzelma Noniewicza, Dziekana Sokólskiego. Starzec prawie latami — młodzieniec jednak duchem, ks. Anzelm może służyć wzorem akuratności w spełnianiu swych kapłańskich obowiązków, z odmówieniem naprzykład

brewiarza nie spóźni się na sekundę, nie darmo ongi nosił habit Trynitarza. Obok tego posiada dar ujmowania sobie ludzi i w towarzystwie trudno o człowieka bardziej sympatycznego. Sądzę, że czytelników zainteresuje dokument, dziś znajdujący się już w setkach rąk.

ODPOWIEDŹ Ks. ANZELMA NONIEWICZA, DZIEKANA SOKÓLSKIEGO, NA WYŻEJ PRZYTOCZONY RESKRYPT GUBERNATORA GRODZIEŃSKIEGO.

Na skutek sekretnego rozporządzenia z dnia 6-go kwietnia, Nr. 1169, otrzymanego przezemnie w dniu 10 b. m. i dotyczącego cerk.-par. szkół i szkół elementarnych, mam zaszczyt wyjaśnić co następuje:

Posiadamy cyrkularz wileńskiego rz.-kat. Biskupa z d. 14 lipca 1901 r. Nr. 1567, który kończy się słowami:

„Nakazuję podwładnemu mi duchowieństwu, aby wypełniając rozporządzenia władzy administracyjnej, noszące charakter cywilny, w tym kierunku dając dobry przykład katolikom parafianom we wszystkich wypadkach, pośrednio lub bezpośrednio dotyczących wiary lub kościoła, nie dawało żadnych zobowiązań bądź słownych bądź piśmiennych tejże władzy cywilnej, bez mojej wiedzy i zezwolenia w każdym poszczególnym wypadku“.

Posiadamy drugi cyrkularz tego Biskupa z dnia 12 lutego 1902 r. Nr. 509 o cerk.-par. szkołach i szkółkach elementarnych, w końcu którego Biskup pisze:

„Nakazujemy nie dawać na spowiedzi rozgrzeszenia nietylko dzieciom, uczącym się w tych szkołach, lecz i rodzicom i opiekunom, którzy je tam posyłają“.

Te dwa cyrkularze Biskup rozesłał bezpośrednio od siebie wszystkim księżom wileńskiej rz.-kat. dyecezyi.

Spowiednik *(confessarius)* może rozgrzeszać na spowiedzi o tyle tylko, o ile Biskup udzieli mu na to odpowiednią duchowną władzę *(iurisdictio)*; za grzechy zaś, na które nie otrzymał *iurisdictionis*, nie ma prawa dawać rozgrzeszenia, takie bowiem rozgrzeszenie byłoby nieważnem i świętokradzkiem, a na spowiednika ściągnęłoby najstraszniejsze kary, stokroć gorsze dla sumienia pasterskiego, niż wszystkie prześladowania tego świata.

Cyrkularze i rozporządzenia wydane w interesach Kościoła przez właściwego dyecezyalnego Biskupa, mają obowiązującą siłę

(moc), obciążającą sumienie każdego podwładnego duchownego członka dyecezyi; jeżeli zaś rozporządzenia te dotyczą nietylko duchownych osób, lecz i wszystkich wiernych katolików dyecezyi, to i tych ostatnich zarówno obowiązują do sumiennego wykonywania tychże, dopóki nie zostaną odwołane przez samego Biskupa, w ostatnim razie przez Papieża, jako Głowę kościoła rzymsko-katolickiego.

O odwołaniu wyż wymienionych cyrkularzy nie zawiadomił mnie ani wileński rz.-kat. Biskup, ani Papież, Głowa naszego Kościoła. Wobec tego rozporządzenia W. Światłości, dotyczące wydania przezemnie odpowiednich wskazówek podwładnym moim księżom, jak mają postępować względem cerk.-par. szkół i szkół elementarnych, nie może być wypełnione i przezemnie wykonane.

1902. 24 kwietnia Nr. 315.

Jednak trudno było dokładnie przewidzieć, jaki obrót wezmą sprawy wobec gubernatorskich żądań śród ogółu duchowieństwa. A nuż znajdą się nowi Tupalscy? A nuż za nimi pójdą ludzie dobrej woli, lecz chwiejnego charakteru? Trudno też było przewidzieć, jakich środków chwyci się rząd do przepchania swych planów. By złych opamiętać, a chwiejnych podtrzymać, rozsyłano na razie piśmienne ostrzeżenia, a wreszcie dwie dzielnie napisane odezwy: jednę drukowaną, drugą litografowaną. Pierwsza trzymana w zbyt przyśpieszonem tempie, do jakiego flegmatyczne wogóle natury nasze nie są przyzwyczajone, nie zrobiła może tyle wrażenia, co druga, traktująca rzecz całą bardziej na chłodno, choć równie dosadnie. Przytaczamy obydwie — *in extenso.*

I. FRATRIBUS IN CHRISTO.

Bonus pastor animam suam ponit pro ovibus suis, fecit, quod monuit, ostendit, quod jussit.

Znowu pogwałcenie praw ludzkich! Znowu cyniczne zdeptanie uczuć dla nas najdroższych! Znowu jeden z tysiąca dowodów wyuzdania carskiego rządu! W tej chwili staje przed oczyma naszemi postać naszego pasterza, otoczona aureolą poświęcenia i męczeństwa. Biedny wygnaniec, broniąc owczarni przez Boga mu powierzonej, jako „dobry pasterz dał duszę swoją za owce

swoje“ i dziś oddany samowoli carskich siepaczy, znosić musi męczarnie za kraj swój i za wiarę świętą. Stoimy wobec faktu brutalnej, bezbrzeżnej niesprawiedliwości cara, wobec politycznego nihilizmu rządu moskiewskiego. Dyecezya wileńska, pogrążona w smutku i żałobie, czując całą grozę położenia, wpatrując się w przyszłość pełną zagadek, przedstawia smutny obraz łodzi, która na wezbranem morzu utraciła swego sternika i dziś może w niejednem sercu powstają zwątpienia, nie jedne usta bluźnierczo śmią potępiać działalność swego wielkiego sternika, który za lud swój ponosi męczeństwo.

Chwila, bracia, jest znamienną, pełną grozy i majestatu, w której siły lepsze naszej dyecezyi, dusze szlachetne, urażone cynizmem carskiej przemocy, podniosą zapewne okrzyk oburzenia i boleści, ale i jednostki spodlone, nikczemni słudzy caratu, jak żmije, wypełzną na widownię i siać będą jad zgorszenia i zdrady. Ojczyzna, bracia, zelżona, wiara zdeptana, a nikczemne tchórzostwo zamyka usta i zdrada siecią tajemną stara się ogarnąć nas wszystkich. Ale niesprawiedliwość rządu wobec naszego Biskupa dusze szlachetnych porywa do czynu i oczy otwiera prostaczkom. Rzućmy, *fratres,* pobożnie okiem na działalność naszego Biskupa w przeciągu krótkiego, ale pełnego cierni jego urzędowania, a jak z jednej strony poznamy siłę jego duszy, i wyrobienie charakteru, i miłość bezgraniczną owczarni mu powierzonej, tak z drugiej strony przekonamy się, może po raz tysiączny, że żadna polityka, żadne ustępstwa, żadne hańbiące poniżenia nie zjednają dla nas przychylności Moskali. Wszak byliśmy świadkami tych chwil bolesnych, kiedy pasterz, uwiedziony nikczemną polityką lojalizmu, zasiadł pod sklepieniem sprofanowanej świątyni Pańskiej do uczty „murawiewowskiej“; widzieliśmy ciągłe Jego ustępstwa na niekorzyść Kościoła i narodu, co nazywano „polityką“; czuliśmy Jego cierpienia, bóle i niepokoje, kiedy go posądzano o moskalofilstwo, kiedy go błotem zarzucano; i ustępował, i był posłusznym Moskalom na ich skinienia, i widział szkody Kościoła, i widział to błoto, którem go powszechnie zarzucano, ale trzymał się wytkniętej mu przez ślepych ugodowców metody, bo w niej widział jedyny punkt wyjścia z tych trudności, w jakich pozostawała dyecezya wileńska. Ale cóż pomogły wszystkie jego ustępstwa? Czyż Moskale wzięli pod uwagę ofiarę, jaką z honoru, ze sławy, z dobrego imienia i uczuć swych złożył na ołtarzu — jak sądził — Kościoła

i Ojczyzny, czy pojęli cały ten tragizm, który musiał rozdzierać tę szlachetną, skłonną do ofiar duszę! Nie! Ustępstwa jego biorąc za oznakę słabości charakteru, coraz więcej starali się wyzyskać tę metodę politykowania, którą skrycie nazywali tchórzostwem i w duszy nią pogardzali. Coraz cyniczniej obcinali prawa biskupie, coraz brutalniej prześladowali katolików-Polaków za to tylko, że los kazał im się urodzić Polakami i katolikami. Kiedy zaś knut i Sybir, te symbole carskiej wszechwładzy, zbyt jeszcze powolnie z serc ludu wydzierały wiarę praojców i zacierały cechy narodowe, rząd carski, dążąc systematycznie i nieustannie do zruszczenia kraju i oderwania go od Kościoła katolickiego, pozaprowadzał w dyecezyi wyznaniowe, prawosławne szkoły, które, porozrzucane po wsiach i miasteczkach, przeważnie przez katolików zamieszkałych, miały na celu prowadzić propagandę prawosławia między ludnością czysto katolicką. System ten rusyfikacyi i sprawosławienia kraju o tyle więcej był dla nas groźnym, iż wspomniane szkoły przeważnie nie miały własnych lokali, ale nauczyciel wraz z całą gromadą uczni kolejno przebywał po dni kilka w chatach wieśniaczych i tu sprawosławienie ludności dochodziło nieraz do orgii straszliwej, zmuszając lud do tolerowania wśród siebie nauczyciela-misyonarza; rozmowa w języku rodzinnym była wzbronioną, pacierz katolicki, odmawiany przez domowników, wyszydzony, obrazy katolickie poniewierane, obrzędy święte wyśmiane, księża cynicznie spotwarzani; natomiast gospodarze musieli widzieć łzy krokodyle na oczach nauczyciela-misyonarza, wylewane nad losem biednych chłopów, wyzyskiwanych przez księży i panów, i słyszeć nieustanne hymny ku chwale prawosławia. Charakterystycznem jest to, iż nauczyciele nieraz jako karę za występki naznaczali uczniom wypełnianie pewnych obrzędów prawosławia i przez to dzieci choć w ten sposób przyzwyczajali do spełniania tych czynów dewocyi schyzmatyckiej, naprzykład odbijania rosyjskich pokłonów, żegnania się palcami i t. p. Skutki tego systemu gubienia wiary przez szkołę, podszeptanego Moskalom chyba przez samo piekło, chociaż nie były jeszcze wielkie, ale kiełkować poczynały; dawały się zauważyć nie skłonność do schyzmy, ale zimna obojętność w wierze katolickiej i pomiatanie wszystkiem, co swoje.

Wielu księży gorliwych i zacnych w swoich parafiach chciało położyć tamę tej propagandzie, ale za to dzisiaj albo siedzą w więzieniu, albo przebywają na zesłaniu, jak ostatnimi czasy księża

Izydor Słyczko i Michał Wieliczko. Wtedy też oczy pasterza naszego otwarły się; poznał nareszcie, że ani ugoda, ani ustępstwa, ani politykowanie, ani nareszcie wyrzeczenie się własnej godności nie odwiodą Moskali od głównego ich celu zeschyzmatyczenia ludności, zerwał na zawsze z polityką ugody, i mając na względzie jedynie dobro Kościoła i narodu, otwarcie rzucił Moskalom rękawicę do ciężkiej, chociaż nierównej walki. Tem wyznaniem był znany okólnik Biskupa o szkołach cerkiewnych. Pasterz bierze dowody z ust samych Moskali o znaczeniu tych szkół, a wskazawszy jakiem niebezpieczeństwem grożą one całości wiary, najsurowiej powagą swą biskupią zabrania księżom podwładnym rozgrzeszać na spowiedzi świętej nietylko te dziatki, które uczęszczać będą do szkół wzmiankowanych, ale i ich rodziców i opiekunów, jeśli nie będą posłuszni głosowi pasterza. Losy jego dzisiaj są nam znane; ale nie myślmy, że walka zakończyła się przegraną: nie! walka dopiero teraz się rozpoczyna, walka zażarta, *ignem veni mittere in mundum,* a od tego zarzewia pożar się roznieci po całym kraju. Wróg jest potężny i zbrojny, ale i pasterz użył oręża, który popłoch wśród Moskali szerzy. Szczęśliwi, bracia, jesteśmy, że żyjemy w tej chwili tak znamiennej, która epokę stanowić będzie w dziejach odradzania się naszego kraju, szczęśliwi, że sami w tem odradzaniu się wielką rolę do odegrania mamy. Pamiętajmy, bracia, że ten okólnik naszego Biskupa po roku 63-cim jest pierwszym jawnym okrzykiem boleści, pierwszym głośnym protestem przeciwko dzikiej samowoli moskiewskiej, pierwszem wystąpieniem przeciwko wszechpotędze cara, przed którym drżą miliony niewolników.

Pamiętajmy, że dzisiaj naród cały i cały świat katolicki ma na nas zwróconą uwagę, bądźmy godnymi swego pasterza, a walkę przez niego podjętą prowadźmy w imię Boże z nadzieją zwycięstwa; *non potest arbor bona malos fructos facere,* a źródło walki jest święte i szlachetne. W myśl znanego okólnika naszego pasterza pouczajmy lud wierny przy każdej okoliczności o szkodliwości i celach szkoły cerkiewnej, prośbą i groźbą powstrzymujmy od uczęszczania do nich, w potrzebie używajmy środków najsurowszych. *Argue, obs era, inerepta in omni patientia et doctrina:* postępujmy odważnie, jak przystało apostołom prawdy i swobody, *estote simplices sicut columbae et prudentes sicut serpentes.* Walka będzie ciężką, ale pamiętajmy, że walczymy za sprawę najświętszą

i że społeczeństwo świeckie zwartym szeregiem stanie z nami do boju. Zwróćmy uwagę, że, jak nam wiadomo, władze cywilne mają od nas przemocą odbierać egzemplarze znanego okólnika. mają wymagać podpisów, że się do niego stosować nie będziemy. ale niech piętno Kaina, niech wzgarda narodu, niech gniew Niebios spotka takiego, który na to się zgodzi; niech historya na wieki ukropem piekła na swych stronicach wypisze ich imiona; znane są nam nazwiska tych braci naszych. którzy już na to w sposób plamiący suknię kapłańską się zgodzili, którzy dobrowolnie usługi swe ofiarowali Moskalom, ale niech wiedzą, że nie cofniemy przed publicznem napiętnowaniem imion tych zdrajców i wzgarda narodu całego pokryje je na zawsze. Lecz oczekujemy ich upamiętania się i cnotliwymi czynami zmazania winy i hańby. Z modlitwą więc na ustach, z otuchą i odwagą w sercu ratujmy ziemię kochaną, zroszoną łzami i krwią naszą; o! dużo krwi, jeszcze się dużo łez wyleje, dużo jeszcze braci jęczeć będzie w dalekich śniegach Sybiru, ale *sanguis martyrum semen Christianorum*; bądźmyż tą krwią, która zrosi ziemię naszą i kwiat wolności Kościoła i niepodległości Ojczyzny wyda!

Fratres.

Vilnae, anno Domini 1902.

II. ODEZWA DO BRACI KAPŁANÓW.

Od czasu rozbioru Rzeczypospolitej Polskiej, Rosya stale i niewzruszenie dąży do obalenia katolicyzmu na Litwie z bezwzględnością, w żadnem z państw obecnych niesłychaną. Z unią już się załatwiła, ale z kościołem łacińskim nie idzie tak łatwo. już to dzięki większej odrębności obrzędowej, już to dlatego. że nie może znaleść Siemaszki łacińskiego. Uzurpator Żyliński, chcący odegrać jego rolę, poszedł śród przekleństw i pogardy na sąd Boży, pozostawiwszy mały wyłom, przez innych prędko naprawiony.

Podstępnemi pertraktacyami z Rzymem, rzucaniem postrachu przez więzienie i wygnanie Biskupów i kapłanów, szeregiem brutalnych rozporządzeń administracyjno - policyjnych rząd najezdzcy dąży do zamierzonego celu, jak dotychczas bezskutecznie; machinacye w Rzymie zawsze wczas zdemaskowano, a terror i rozporządzenia administracyjne nie wiele szkodzą, bo Pasterze nasi, wsparci mocą z Nieba, umieją iść drogą przez Chrystusa. Apo-

stołów i Męczenników wskazaną. Tą drogą poszli Krasiński, Hryniewiecki, a obecnie Zwierowicz.

Jednem z ostatnich narzędzi, przez rząd wymyślonych ku zniszczeniu katolicyzmu, są szkółki cerkiewne. Rząd zrozumiał, że oddać duchowieństwu prawosławnemu wychowanie młodych pokoleń ludowych jest to podkopać Kościół nasz w samych fundamentach. Niebezpieczeństwo wielkie, trzeba było bronić się, cios wymierzony odparować. Wynikiem tej potrzeby jest znany nam wszystkim okólnik Biskupa Zwierowicza, gruntownie uzasadniony i odwagą iście apostolską podyktowany. Że cyrkularz uderzył w samo sedno rzeczy i zamach tak wytrwale, z takim nakładem pracy i pieniędzy przygotowany unicestwił, dowodzi tego wściekłość popów, rządu i wyrok na Biskupa. Biskup, jak przystało na dobrego pasterza, „duszę swą położył za owce swoje“. Los obecny nie był dlań żadną niespodzianką. Gdy kładł podpis na sławnym okólniku, wiedział co go czeka i później spokojnie pojechał na wygnanie w poczuciu spełnionego obowiązku, wśród łez, błogosławieństwa niezliczonych tłumów, zalegających ulice grodu Gedymina. Pasterz zrobił swoje, a resztę nam przekazał. My więc teraz do dzieła. „*Oremus et laboremus*“. Wygnaniem Biskupa chce rząd księży sterroryzować i cały plan Jego udaremnić. Rachuje się na naszą małoduszność i demoralizacyę. Hańba okropna dla nas kapłanów, gdyby rząd się nie mylił! Gdyby się okazało, że zna nas lepiej i więcej polegać na nas może, niż nasi prawowici zwierzchnicy duchowni! Gorzki zawód i ból dotkliwy pociągnęłaby dla Pasterza naszego wieść, że jego własni kapłani Go opuścili i sprawę, za którą on nie wahał się iść choćby na Sybiru śniegi, niecnie zdradzili. Nie, to być nie może! tak niskośmy nie upadli i moralnie się nie spodlili. Tu i ówdzie odzywające się głosy, jak: „A kto nas karmić będzie, gdy wyślą“, albo „mnie jeszcze nie dokuczyło siedzieć w domu“, albo „nie mam najmniejszej ochoty jechać na Sybir“, należy uważać za wyjątkowe, duchem Judasza, czczącym srebrniki nadewszystko, podyktowane. Takich jest mało, oni szali nie przechylą. Ale, jak w każdej sprawie, decydująca większość składa się z ludzi chwiejnych, u których instynkt samozachowawczy walczy z poczuciem obowiązku. Do nich to przedewszystkiem zwracamy się z tą odezwą.

Bracia kapłani! Wywiezienie Biskupa nie zdejmuje z sumień naszych obowiązku wykonania Jego woli. Ja wyjeżdżam, po-

wiedział On, opuszczając Wilno, ale rozporządzenia moje pozostają w sile. Czy mamy jeszcze przypominać, że względem dzieci, uczęszczających do szkółek cerkiewnych i ich rodziców aprobata cofnięta *(casus reservatus)*? Bracia! Potęga i zwycięztwo nasze w jedności: wszystkim nic nie grozi, cząstce odważniejszej — prześladowanie, a los jej ciężarem okrutnym legnie na sumieniu tych, co z pola walki uciekli i na rzeź niechybną bohaterską garstkę towarzyszy zostawili. Bracia! Myśmy Kościół wojujący, wojsko Chrystusowe, nie wolno nam stać niżej od żołdaka śmiało idącego w bój na króla ziemskiego. Bracia! pomnijmy, że wykonanie lub niewykonanie okólnika będzie stanowiło o naszej wartości moralnej i o duchu kapłańsko-apostolskim. Nie zapominajmy, że stajemy przed sądem Boga, Kościoła, teraźniejszych i przyszłych pokoleń. Więc jednym wielkim, potężnym głosem powiedzmy śmiało i otwarcie: „Ludu katolicki, nie oddawaj dzieci swych do szkółek popich, bo tego wymaga Kościół, św. Matka nasza, nasza godność katolicka i zarazem Pasterza wygnańca. Wobec jednomyślności i jedności w działaniu przemoc brutalna bezsilną się poczuje i przekona, że wygnanie Biskupa nie zmieniło postaci rzeczy na jej korzyść. Niech więzi nas wszystkich, jeśli się odważy, niech zamknie kościoły, niech miliony ludu pozbawia kapłanów i ołtarzy. My nie pójdziemy za głosem tchórzostwa, które przybrane w płaszczyk dobra religijnego szepce zdradliwie do ucha: a cóż się stanie z ludem, gdy kapłanów nie będzie? Wykonanie apostolskiej woli Biskupa będzie najlepszym wyrazem troskliwości o losy Kościoła. Spełniliśmy swój obowiązek, a resztę Bogu zostawimy. *Deus ipse sibi providebit.* Polecam Dyecezyę Opatrzności Bożej — były ostatnie pożegnalne słowa Pasterza męczennika.

W Wilnie duchowieństwo nie przyjęło propozycyi gubernatora cofnięcia cyrkularza. Bądźmy tedy jednomyślni, oczy fratrów zwrócone na dziekanów.

Odezwy i dobry przykład konfratrów zrobiły swoje: dotąd nie mieliśmy wyraźnych zdrajców!

Rozporządzenie Pasterza utrzymało się w całej swej sile!

Oto pierwszy akt dramatu.

Wywiezienie Biskupa w wyżej opisanych warunkach było krokiem wysoce nierozsądnym ze strony Rosyi — dla Polaków i Litwinów, ogarniających całość terenu politycznej walki z na-

jedniczym rządem, fakt ten był jednak pożądany (jeżeli tak wolno powiedzieć) — dopełnił on bowiem wszystkie braki w wystąpieniu ks. Biskupa, następnie w wykonywaniu cyrkularza oraz jego stosowaniu w praktyce — za jednym zamachem obudził i uświadomił lud całej dyecezyi!

Wcześnie spostrzegli się jednak Moskale, na jak mylne tory polityki wprowadziła ich zapalczywość, zemsta i nienawiść do katolicyzmu. Osobnym ukazem carskim powrócony z wygnania Twerskiego, ks. Biskup Zwierowicz zasiadł na prastarej stolicy Sandomierza, otoczony aureolą męczennika, czcią wiernych i uwielbieniem duchowieństwa. Oto druga częśc dramatu.

A dalszy ciąg w postaci borykania się o byt religijny, narodowy i polityczny garstki wyzutej z wszelkich praw paryasów będzie trwał dalej przerywany znowu od czasu do czasu tłumionym: *Pro Christo et Polonia!* i złowrogą odpowiedzią: *Vae victis!*

Oby już wreszcie na grobach przynajmniej naszych legł kamień z napisem: „*Liberi, pro Christo et Polonia militantibus!*" A tymczasem: Razem młodzi przyjaciele! śmiało! śmiało! tę chwilę rozdłużmy, rozdalmy! Śmiało, śmiało! tę iskrę rozniećmy! rozpalmy!

Ksiądz Żmogus z nad Wilii.

HISTORYA WALKI O JĘZYK POLSKI W WYKŁADZIE RELIGII.

Po krwawych scenach unickich, po bolesnej niemniej krwawemi głoskami pisanej historyi 63 roku, po wydaniu całego szeregu praw wyjątkowych, gdy wszystkie stany społeczeństwa złamane fizycznie i duchowo podały swe szyje w nakładane mu okowy niewoli — rozpoczęła Rosya systematyczne już wynaradawianie, respective sprawosławianie zdradnie i rozbójniczym sposobem zagrabionej nam Ojczyzny.

Pomiędzy wieloma środkami w celach wyżej wzmiankowanych stosowanymi, polecono (1874 r.) wykładowy język polski przy nauczaniu religii zamienić na państwowy rosyjski. Chwila była dobrze wybrana, rozkaz w czyn wprowadzać poczęto. Nie opierała się nasza władza duchowna, nie opierali się XX. prefekci, nie protestowało interesowane w tej sprawie społeczeństwo! Podobno

dłużej ważyły się sfery rządowe nad wydaniem tego rozkazu, aniżeli my nad jego przyjęciem i wykonaniem.

I tak w Lublinie i w Siedlcach, Białej, Chełmie, Zamościu. Hrubieszowie i t. d., nawet w Warszawie (ks. Brzeski, Słowikowski, Cieślewski i t. d.) XX. prefekci poczęli wykładać religię w języku rosyjskim.

W Lublinie po ks. Lewandowskim (przed 20 laty) przywrócono wykładowy język polski, gdyż żaden z księży nie chciał w tych warunkach zająć opuszczonego stanowiska. W Warszawie znalazło się zalewie kilka jednostek gotowych służyć za taran w ręku moskiewskim do rozbijania własnego Kościoła, było to więc przejściowe. W Siedlcach jednak, Zamościu, Hrubieszowie, Białej, Chełmie, że już pominiemy inne miejscowości poza obrębem naszej dyecezyi będące, język rosyjski jako wykładowy utrwalił się całkowicie. Z czasem doszliśmy do tego, że tę anomalię *sui generis* za coś jeżeli nie prawnego to co najmniej za *malum necessarium* uważali jedni, drugim się zdawało, że w naszych warunkach inaczej być nie może.

Zamroczone nasze sumienia ożyły cokolwiek po scenach wrzesińskich; liczne głosy w prasie rosyjskiej przeciwko systemowi nauczania pruskiemu otworzyły nam oczy na to, co się też pod bokiem naszym działo, ale i wtedy żaden z nas nie pomyślał o naprawieniu zła, jakie się za poprzedników wkradło; westchnęliśmy sobie ze smutkiem, może najpoczciwszym nawet w sercu, ale usta jak dawniej milczące, ręce założone pozostały!...

I biegłyby sprawy te dawnym anormalnym torem, gdyby inni do załatwienia tych palących kwestyi ręki nie przyłożyli... Inicyatywa wyszła z łona samego społeczeństwa, w formie głosów młodzieży, protestującej przeciwko uczeniu się religii w języku rosyjskim (luty 1902 r.).

Szlachetnie i rozsądnie pokierowany protest młodzieży głośnym echem odbił się po kraju. Młodzież uczyniła to, co uczynić oddawna powinni byli rodzice, XX. prefekci i najwyższa władza dyecezyalna.

Do Petersburga złożono jak zwykle raport: „Poliaki buntujutsia“; na miejscu zarządzono wszystkie możliwe środki, by akcyę przerwać i rzeczy do dawnego porządku powrócić. Więc śledztwo. komisye, groźby, kłamstwa, podejścia, wreszcie masowe wydalania. Starano się sterroryzować młodzież i ich rodziców. Prefektów tylko nie tykano, snać pewni byli, że nie z tej strony zagrożony jest

dotychczasowy system nauczania religii! Niestety nie mylili się co do nas, jak to wykazała przyszłość.

Jeżeli nie prosty rozsądek na podłożu miłości Kościoła i Ojczyzny wsparty przez akcyę młodzieży, to już sama akcya tych pacholąt, potem zachowanie się władz gimnazyalnych, mogły były otworzyć oczy prefektom, wskazać im drogę, jaką pójść powinni, by choć w części spełnić to, co w całości sami uczynić zdawna obowiązani byli. Rozwiązanie pomyślne zapoczątkowanej przez młodzież walki o język głównie zależało od XX. prefektów i władzy dyecezyalnej.

Nie potrzeba było być politykiem wielkiej miary, by zrozumieć, że dla silnego poparcia sprawy, *primo* — wszyscy prefekci podać się muszą do zwolnienia z zajmowanych stanowisk, — że ks. biskupowi nie wolno dać swego *placet* tym księżom, którzyby wbrew wszystkiemu na nowo chcieli służyć rządowi za narzędzie rusyfikacyi i osłabieniu wiary w sercach młodzieży katolickiej. Słowem, że raczej ma nie być wcale wykładu religii, aniżeli wykład jej po rosyjsku.

Tak, stanowisko jakie zająć wypadało duchowieństwu, bezpośrednio z tą sprawą związanemu, było wyraźną drogą, po której pójść należało. Sumienie, serce i rozsądek pokazywały, a jednak potrzeba było bardzo silnego naporu opinii ogółu, by dopiero tą bronią ostateczną zmuszeni ustąpili XX. prefekci z posad.

Mamy tu przed sobą pisane relacye od księży i młodzieży o zachowaniu się niektórych XX. prefektów w tej epoce. Kładziemy na nie zasłonę, by serc nie krwawić, a im drogi ku naprawie nie tamować.

Pierwszy ustąpił z prefektury ks. Dubiszewski z Siedlec — długiego potem stosunkowo potrzeba było czasu, by ustąpił ks. dziekan Górniak z Białej, ks. Delikat z Zamościa, ks. Witkowski z Chełma, wreszcie ostatni, w rok zaledwie od poczęcia się sprawy, ks Grabowicz z Hrubieszowa.

To karygodne, niczem nie dające się usprawiedliwić wahanie i upieranie się na stanowisku prefektów, wytworzyło sytuacyę groźną; można było się spodziewać, że walka zainicyowana przez młodzież, wobec więcej jak biernego zachowania się katechetów, albo skończy się zwycięstwem rządu, albo nowych ofiar ze strony tej garstki młodzieży wymagać będzie!

Na dobitkę, słowa wyrzeczone przez jednego z przedstawi-

cieli rządu „za diengi my podleca księdza najdiem“, acz uwłaczające stanowi naszemu, nie zupełnie rozmijały się z prawdą.

Z biegiem jednak czasu pokazało się to, co jest w istocie, że sfera nasza acz grzeszy pewno *in minus* tam, gdzie potrzeba nadstawiać głowy dla Kościoła i Ojczyzny, acz pokazuje się dla powierzchownego badacza zmateryalizowaną i zaskorupiałą, to jednak w głębi serc żywi tą iskrę czynnej miłości dla Kościoła i Ojczyzny, która w sposobnej chwili i w płomień, da Bóg, przerodzić się potrafi!

Pomału jedna przewodnia myśl ogarnęła wszystkie umysły: zmusić do ustąpienia dotychczasowych prefektów, nowych zaś, gdyby takowi wypełźli — niedopuścić. Myśl ta poparta gorącą odezwą do braci w Chrystusie (podajemy ją w zakończeniu niniejszego artykułu *in extenso*) stworzyła pożądaną opinię, wbrew której walczyć bez ostatniego skompromitowania się nie mogli już dotychczasowi katecheci, a nowi kandydaci (dwóch mówiono — jeden zaledwie napoczął pertraktacye w tej mierze z rządem) nie śmieli wystąpić.

Wykłady religii zostały przerwane, stan taki jednak trwać nie mógł długo. Gdy podstępne propozycye dyrektorów, przybranych na teraz w maskę poczciwości, aprobowane zresztą, nawiasem mówiąc, przez niektórych niedaleko patrzących konfratrów (ustne propozycye, by księża prefekci, nie zmieniając podręczników, wykładali sobie po cichu po polsku religię i t. p.) nie odniosły skutku, gdy prowokujące zachowanie się władz gimnazyalnych po innych gimnazyach Królestwa zażegnane w skutkach zostało w porę, — gdy sprawa nabierać poczęła rozgłosu i poza granicami kraju — powiadomiony o stanie rzeczy Petersburg wezwał JE. ks. biskupa Jaczewskiego, prawie w rocznicę protestu młodzieży „po diełam służby“.

Pierwsza rozmowa ks. biskupa odbyła się z ministrem von Plewem, poczem nastąpiła druga audyencya u Zengera.

Rezultat rozmowy, pomijając drobne jej szczegóły, da się streścić w sposób następujący. Minister spraw wewnętrznych Plewe żądał, by ks. biskup mianował nowych prefektów i skłonił ich swą powagą do utrzymania *status quo ante*, motywując swoje zdanie tem, że gimnazya i progimnazya w Lubelskim i Siedleckim są dla Rosyan *(sic)*, nie dla Polaków, że ziemie te są rosyjskie! że rząd z Polakami tam zamieszkałymi nie ma potrzeby zbytnio się liczyć.

Gdy te wywody nie wywarły pożądanego skutku, gdy przeciwnie ks. biskup odparł je i oświadczył, iż wpływać na podwładne sobie duchowieństwo w duchu stawianych sobie żądań nie będzie i że obstaje przytem, by religia wykładaną była po polsku, — p. Plewe jął się broni, wielokrotnie niestety z powodzeniem stosowanej dotąd, groźby. Przedstawił ks. biskupowi, iż opór ten ujemnie odbije się na jego dyecezyi, że rząd bez pomocy biskupa znajdzie środki na przeprowadzenie swej polityki, że znajdzie księży, którzy wykładów się podejmą.

„Gorzej, jak u mnie, być już nie może — odparł ks. biskup — księżom, którzyby z własnej woli chcieli wykładać religię po rosyjsku, nie dam misyi kanonicznej, a obcych do dyecezyi nie przyjmę“. Na tem skończyło się posłuchanie.

Następna audyencya u ministra oświaty Zengera o wiele ciekawsza i charakterystyczniejsza, ile że z jednej strony jaskrawo już maluje błędy naszej polityki w stosunkach do rządu i jego przedstawicieli, z drugiej zaś poucza nas o ich zawsze wężowem postępowaniu. Zenger po więcej jak ostrym wstępie, dzieląc swoje przemówienie na urzędowe i prywatne, w tym ostatniem poufnie niby *(vulpes astuta)* powiada: „I cesarz i my doskonale rozumiemy i zgadzamy się w praktyce nawet, że wykład religii odbywać się powinien w języku ojczystym, nie możemy jednak pozwolić by skądinąd pożądana i słuszna reforma, której inicyatywa wyjść była powinna ze strony rodziców i władzy duchownej, drogą legalną, urzeczywistniona została na skutek i pod naporem buntującej się młodzieży! Rząd na to pozwolić nie może, dlatego też radzę, by Wasza Ekscelencya mianowała nowych prefektów, ci niechaj po dawnemu wykłady prowadząc jednocześnie na współ z rodzicami młodzieży po pewnym czasie złożą stosowny memoryał do tronu, a wtedy żądanie bez wątpienia uwzględnione zostanie“. Projekt ten silny argumentacyą sam w sobie byłby doskonały przed protestem młodzieży, po fakcie zaś miał wszelkie, niewątpliwe cechy sprytnie obmyślanej pułapki. W takim też duchu prawdopodobnie przyjął ks. biskup długą perorę, mówimy prawdopodobnie, gdyż szczegóły odpowiedzi ks. biskupa doszły nas w tak sprzecznych relacyach, że trudno odróżnić prawdziwe od fałszywych, faktem jest jednak, jak zresztą zakończenie tej sprawy wykazuje, że rząd nie uzyskał nic z tego, co zamierzył, od naszego Pasterza.

Ks. biskup, przygotowany już do usłyszenia wyroku wygnania,

do owieczek swoich powrócił. Sprawy sporne bez zmiany trwały, wykłady religii przerwane, żaden dysonans już nie zakłócał harmonijnego teraz współdziałania młodzieży, społeczeństwa i księży.

Ufni w słuszność podjętej sprawy, oczekiwaliśmy pomyślnego wymiaru sprawiedliwości, jeżeli już nie dla względów sumienia, to dla okoliczności, które innego wyjścia we własne siatki uplątanemu rządowi, nie pozwalały. I doczekaliśmy się manifestu:

RESKRYPT NAJWYŻSZY NA IMIĘ MINISTRA OŚWIATY, TAJNEGO RADCY ZENGERA.

„Grzegorzu Edwardowiczu! W Bogu spoczywający Dziad Mój Cesarz Aleksander II. w dniu 13 sierpnia 1880 r. najmiłościwiej rozkazał zarządzającemu ministeryum oświaty nie wzbraniać w przyszłości wykładania religii rzymsko-katolickiej uczniom średnich zakładów naukowych w guberniach Królestwa Polskiego w ich języku ojczystym z zastrzeżeniem, aby środek ten nie był rozciągnięty na niektóre zakłady naukowe, gdzie wykłady rzeczone odbywały się dotychczas w języku rosyjskim.

Uznawszy obecnie za dobre, aby porządek rzeczy ustanowiony przez Najwyższy rozkaz z dnia 13 sierpnia 1880 roku dla większości średnich zakładów naukowych warszawskiego okręgu naukowego był rozciągnięty i na te sześć męskich i dwa żeńskie średnie zakłady naukowe tego okręgu, co do których dopuszczone było wyżej pominione ograniczenie, — polecam panu zająć się przedsięwzięciem środków, skierowanych ku temu, aby z początkiem przyszłego roku szkolnego wykłady religii rzymsko-katolickiej w języku ojczystym uczniom dozwolone były we wszystkich bez wyjątku średnich zakładach naukowych kraju, w których kształcą się wychowańcy lub wychowanice tego wyznania.“

Na oryginale własną Jego Cesarskiej Mości ręką podpisano:

Mikołaj.

Dan w Carskiem Siole 25 maja 1903 r.

Manifest powyższy rozstrzygnął kwestye i zakończył walkę. Jednostki ucierpiały, — padając jednak usłały drogę pozostałym do zwycięstwa! Cześć im, jako tym, którzy do budowy całości Gmachu Ojczystego cegiełkę przyłożyli! Zasługa tego zwycięstwa przypada w całości młodzieży, nie zaś nam, ani też ks. biskupowi,

jak chcą niektórzy konfratrzy o „głowach do pozłoty!“, radzi chodzić w „gloryi“ krwią i potem drugich stworzonej.

Prawda, że i zachowanie się księdza biskupa w ciągu całej tej sprawy i nastrój opinii w naszej sferze nie są bez waloru — niemniej jednak nie daje nam to prawa do roszczenia sobie w sposób, jak chcą wyż wspomniane głowy, do zasługi i zwycięztwa.

Sprawa powyższa, a dalej akcya ks. biskupa Zwierowicza, wreszcie cały szereg spraw pomniejszych, jakie niestety mimo oczów i uszów naszych bez zwrócenia należytej uwagi przechodzą, — wszystko to stwierdza konieczność walki czynnej o prawa Kościoła naszego i Ojczyzny. Zaprawdę, gdybyśmy sumiennie przejrzeli lata po ostatniem naszem powstaniu i politykę w nich sfery naszej, doszlibyśmy z pewnością, choćby przy najpesymistyczniejszym obrachunku, do stwierdzenia odwiecznego pewnika, że nie ustępstwami służalczemi, nie niegodnym paleniem i Bogu i dyabłu ogarka, nie machiawelską lojalnością, stanu naszego godność poniżającą, ale tylko Piusowskiem *non possumus*, tylko zorganizowaną energiczną walką — gotowością wyzbycia się chleba, wolności i życia utwierdzić możemy poszanowanie praw naszego Kościoła i postępować naprzód na polu zdobycia utraconej niepodległości politycznej.

Ks. Robak.

„Si sal infatuatum fuerit, in quo salietur? Id est, si vos, per quos condiendi sunt quodammodo populi, metu persecutionum temporalium amiseritis regna coelorum, qui erunt homines, per quos a vobis error auferatur — cum vos elegerit Deus, per quos errorem auferat ceterorum?“
(S. Augustinus, Lib. 1 de Serm. Domini in monte. Cap. 6 Tom. 4).

FRATRIBUS IN CHRISTO!

Pierwsze dni lutego przyniosły nam wieści o szlachetnym proteście młodzieży naszej przeciwko wykładom religii w języku rosyjskim. I żywo zabiło serce każdego Polaka, bo protest ten odsłonił i ukazał jasno dusze naszych pacholąt, a sposób, z jakim został przeprowadzony, zaznaczył zarazem roztropność przyszłych bojowników w naszych wiekowych zapasach z drapieżnym, pod-

stępnym i bezwzględnym azyatą. O! jak żywem tętnem uderzyły serca i krew wyniosła na lica społeczeństwa naszego rumieńce szlachetnej dumy, iż takie pokolenie z jego krwi i kości wyrosło! I nam kapłanom wieści o tym proteście barwią czoła rumieńcem — ale rumieńcem wstydu, upokorzenia i hańby. Nam się radować nie wolno! nam wstyd i hańba, potrzykroć hańba, bo w naszym gronie znaleźli się judasze Kościoła i Ojczyzny, którzy pierwsi podjęli się w myśl najezdczego rządu wykładów religii w języku rosyjskim; hańba, iżeśmy później godnych im następców pośród nas wykarmili, hańba, gdyż teraz drżeć musimy w niepewności, czyli wszyscy dotychczasowi prefekci pójdą drogą, jaką prawi kapłani i synowie ojczyzny chodzić powinni — czy na opróżnione miejsca nie znajdą się nowi przedawczycy, dla stanowiska i zbytku gotowi wejść w układy z własnem sumieniem i honorem! Fratres! hańba za te jednostki o miedzianych czołach i wygasłych duszach spada na cały nasz stan kapłański! i ten bowiem grzeszny, który błądzącego nie upomina, który, mogąc zapobiedz występkowi, nie zapobiega, a myśmy dotąd nie upominali, jak na to zasługują, nie przeszkadzaliśmy im piąć się tam, gdzie jedynie najdzielniejsi z pośrodka nas znajdować się mogą! Fratres! nie pozwolimy, by hańba, jaka z tych ciemnych postaci na nas spada, niezmytą pozostała! Jako ich czyny niegodne, tak naszą niezaradność, bezczynność i bierność potomność sądzić będzie.

Czyżbyśmy mieli zawsze, wychodząc ze źle pojętej miłości bratniej, znajdować przyczyny, pozwalające nam obcować z takimi renegatami w świątyniach i domach naszych? przyczyny, powstrzymujące nas od plunięcia w oczy takim zaprzańcom i od zerwania z niemi wszelkich stosunków?

Nie, Bracia! *Venit hora, tempus est iam de somno surgere!* nasza bierność niemniej od ich czynów groźna. Pora, byśmy na wszystkich punktach wzięli czynny udział w tej walce podjazdowej, nie czekając, aż na dogmatach naszego Kościoła Moskal schyzmatycką stopę postawi i do wojny już w polu otwartem nas zmusi!!

Nie do was, sławni katecheci, nie do was czcigodni pasterze, którzy ze śpiewaniem na ustach lud ziemi, krwią ojców i dziadów naszych przesiąkłej, do owczarni schyzmatyckiej prowadzicie, dziś się zwracamy! nie godniście głosu i napomnienia naszego! nie do was, lecz do Ciebie, Szlachetna Współbraci, która jednako z nami czujesz i myślisz, wołamy: połączmy siły nasze, by zmu-

sić wszelkimi godziwymi środkami dotychczasowych katechetów do ustąpienia ze szkół, w których rząd chce mieć religię katolicką wykładaną w języku rosyjskim, by nie dopuścić gadom wśród nas pełzającym pełnienia moskiewskich przykazań, by gorący protest tych niewinnych owieczek, obskoczonych przez wilki, a zdradzonych przez swoich przyrodzonych pasterzy, nie przebrzmiał bezowocnie! To uczynimy i spełnimy nasz święty kapłańsko-obywatelski obowiązek, a usta nasze, Panie, nie będą kłamać Tobie, mówiąc: *Excita, quesumus Domine, in Ecclesia tua Spiritum, quo repletus sanctus Josaphat martyr et Pontifex tuus animam suam pro ovibus posuit, ut eo intercedente nos quoque eodem spiritu moti ac roborati, animam nostram pro fratribus ponere non vereamur.*

Fratres.

MOWA KLERYKA DO KOLEGÓW.

„Jeśli Cię zapomnę, Jeruzalem, niech zapomniana będzie prawica moja! Niechaj przyschnie język mój do podniebienia mego, jeślibym na Cię nie pomniał, jeślibym nie pokładał Jeruzalem na początku wesela mego“. *Psalm.*

Zewsząd otacza nas powódź zobojętnienia narodowego; na świecie, a i w gmachu naszem chłód tego zobojętnienia, czy też zwątpienia, ostudza gorącość serca. Wierzę, że każdemu z nas na wspomnienie dawnej wielkości Ojczyzny, a dzisiejszego jej poniżenia i niedoli, goręcej bije serce, chcące zerwać krępujące nas więzy. Mimo to, a raczej dlatego, pomówmy dzisiaj o tak miłym przedmiocie, jak Ojczyzna, o tak miłem uczuciu, jak miłość ku niej. Miłość do swojego kraju Bóg nam wlał w serce i dla tego woła do nas przez natchnionego męża: „Jeżeli się przybliżył nasz czas, umrzyjmy za bracią naszą, a nie czyńmy zelżywości“. Widzimy, że się część poświęca dla zachowania całości, jak się ręka bez namysłu wystawia przeciw uderzeniu dla zachowauia całego ciała... Podobnież obowiązkiem jest obywatela cnotliwego, uczy św. Tomasz z Akwinu, wystawiać na niebezpieczeństwo życie dla zachowania całości rzeczypospolitej. Wyrodki — woła Bossuet —

które kraju swojego nie kochają i sieją niezgodę, są przekleństwem rodzaju ludzkiego, niegodni, by ich ziemia nosiła, która się otwiera, aby ich pochłonąć. „Jakoż najmilejszej matki swej miłować i onej czcić nie macie? — pyta natchniony Skarga — Bóg matkę czcić rozkazał“. Przeklęty, kto zasmuca matkę swoją. A która jest pierwsza i zasłużeńsza matka, jako Ojczyzna, od której imię macie i wszystko co macie od niej jest? Czy ta matka Ojczyzna nie jest godna miłości tem większej, że jest prześladowana, cierpiąca, skrzywdzona? Czyż język rodzinny nie staje się droższym przez to samo, że go nam chcą wydrzeć, że przed oczyma są tabliczki z napisami: „Po polski goworit wospreszczajetsia“. Jeruzalem, matka nasza — mówi apostoł (Gal. 4) — nad wszystkie matki czci godna. Zrozumiały tę prawdę i ukochały ją wszystkie wyższe i Boże umysły i dla niej życie nawet łożyli w ofierze. Tylko tchórze, samolubi i sybaryci usuwali się od tej miłości i jej obowiązków. Oni znajdując się na tonącym okręcie, zamiast śpieszyć do jego obrony, opatrują i zabierają tłomoczki swoje — i wraz z okrętem giną. Głupi i samolubni; gdyby swego zapomniawszy, ratowali okręt-ojczyznę i samiby nie zginęli, i swoje znaleźli (Skarga). To też w piśmie świętem mamy pełno przykładów miłości Ojczyzny. Mojżesz, który chciał lud swój okupić zdrowiem, a nawet zbawieniem (Exodus 32); Aod, który poświęcając siebie dla uwolnienia z uciśnienia ludu swego zabił syna Egbara; Samson, który walczył z Filistyny o krzywdę braci swojej i za brać umarł; Dawid, który gniew na siebie obracał, aby lud nie cierpiał (1 Par. 21); Joab, walczący i mówiący: Waleczny lud nasz a Pan niech czyni co się Jemu podoba (2 Reg. 10); Noemiasz, który nad swobodę osobistą przeniósł pożytek Ojczyzny (2 Esdr. 2); Zorobabel, który z gorącej miłości do kraju przeniósł jego dobro nad wszystko inne (3 Esdr. 4); Matatyasz, który po pełnem poświęceniu życia rozkazał synom testamentem, aby nie umierali na łożu, ale w walce „za wiarę i wolność“. Córka Jeftego, która dla dobra Ojczyzny śmierć poniosła (Jud. II.); Judyta, która dla Ojczyzny życie i czystość ważąc, zabiła wodza wrogów; Estera, która narażając swe życie, błaga ciemięzcę o litość dla swego narodu. Są to prawdziwi wyraziciele myśli Bożej. A ileż mamy wspaniałych przykładów miłośników narodu w świecie pogańskim i jeszcze więcej w chrześcijańskim! Niech te przykłady zapalą serca nasze, niech rozbudzą iskrę miłości, któraby ogarnąwszy nas całych nie wy-

gasła nigdy i nigdy. ale się ujawniła przez uczynki! Niech te przykłady w ciężkiej chwili życia staną nam przed oczyma i wtedy bądźmy gotowi „umrzeć z bracią naszą“ pewni nagrody niebieskiej! Lecz może ktokolwiek pomyśli: czasy się zmieniły! O tak, czasy się zmieniły, ale myśl Boża, prawo Boże pozostało to samo, ale obowiązek pełnienia woli Bożej pozostał ten sam, potwierdzony przykładem P. Jezusa, który płakał nad Jerozolimą. Zresztą jakież wymówki mają przeciwnicy miłości Ojczyzny, a raczej ukryci samolubi, sybaryci? Patryotyzm, mówią jedni, nie zgadza się z duchem katolickim wogóle, a w szczególe z duchem katolickiego kapłana. O nie: przytoczone powyżej zdania świętych i przykłady mężów Pisma św. obalają w zupełności ten frazes. Kapłan-katolik winien kochać wszystkie narody. mówią inni. Zgoda! ale jeśli wszystkie, to i swój, tembardziej, że uciśniony, skrzywdzony, i tę miłość winien okazywać przez czyny. Patryota ma nie nienawidzieć, ale się bronić przed nimi, czego Kościół nie zabrania. Miłość ta wszystkich narodów zowie się czasem „ugodą“. Pomijając sprzeczność zawartą w samym pojęciu „ugody“, spojrzyjmy na przykład: Wilk trzyma w paszczęce barana — mówi pewien kapłan — ja patrzę na to z założonemi rękami, nie bronię cierpiącego barana, ale owszem od czasu do czasu rzeknę z namaszczeniem: baranie, poco beczysz, daj się zjeść... To też Leon XIII inaczej postępował i, choć kapłan najwyższy, wywiesił w Watykanie czarną chorągiew na znak żałoby po klęsce Ojczyzny, gdy wojska włoskie były rozbite przez Menelika. A kardynał Capocelatro uczy alumnów: „Miłość Ojczyzny, jest to miłość chrześcijańska natchniona od Boga do serc ludzkich“. Kochać Ojczyznę znaczy tyle, co chcieć ją widzieć niezależną i wolną (*Gaz. pol.* Nr. 34 z r. 1900).

Duchowieństwo nadto jeszcze jeden ważny wzgląd powinien skłaniać do czynnej miłości Ojczyzny. Język polski i wogóle polskość jest — jak mówi X. biskup Borowski w liście pasterskim — przedmurzem katolicyzmu i szańcem obronnym przeciwko schyzmie. Tę moc łączności wiary naszej z narodowością pojęli dobrze Moskale. I dlatego Moskale starają się rozerwać tę spójnię dzisiaj, by pozyskać księży, uciskają narodowość, a kościołowi dają większą swobodę. Za księżmi zaś pójdzie lud i oto duchowieństwo przyłoży rękę do „sprawosławienia“ kraju, bo gdy znikną różnice plemienne, łatwiej będzie dokonać zjednoczenia religijnego w schyzmie. Fakt sprawosławienia kresów białoruskich oczywiście dowodzi

tego, że zbliżenie plemienne językowe ułatwia zjednoczenie się religijne. Pojął to także Rzym, i dlatego to, gdy Moskale chcą wyrugować polszczyznę z kościoła, Papież ciągle się temu sprzeciwia. Ci nawet księża, którzy za Ojczyznę swoją uważają Rzym, powinni za wzorem Ojców św. bronić polskości. Bracia, kochajmy więc czynnie naszą Polskę biedną, bo wtedy oprócz nagrody P. Jezusa, oprócz szczęścia wewnętrznego, jakie stąd odniesiemy, pociągniemy współbraci do wiary, którzy odstręczają się od niej wskutek obojętności narodowej duchowieństwa. Nie mogę być wyznawcą tej religii — mówią oni — której słudzy i przedstawiciele działają na niekorzyść mojej Ojczyzny. Zresztą najukochańsza Matka nasza Częstochowska powinna służyć wszystkim duchownym jako wzór miłości polskiej krainy. Dość wspomnieć, że Boga-Rodzica, Bogiem wsławiona Marya wśród nas zamieszkała, dość wspomnieć Husytów, Szwedów, ostatni pożar, aby zrozumieć szczególniejszą Jej dla nas miłość.

Bracia! miłości czynnej, bo miłość uchylająca się nie jest miłością (św. Grzegórz). A jakie nasze stanowisko? Nie ufać rządowi! Bezgraniczna naiwność przypuścić chyba może, że rząd choć na chwilkę nie swoje, ale nasze interesy ma na celu. Zdać się na łaskę lub niełaskę cara, a raczej biurokracyi, to stać się ślepem narzędziem do samobójstwa narodowego. Ustępstwa rządu uważać należy nie jako wynik sprawiedliwości, ale jako skutek sytuacyi w Europie, lub jako środek do kupienia duszy narodu. „Nas — woła Feliński, Arcypasterz — może zaspokoić albo niepodległość, albo szeroka autonomia!“ Tak, Bracia, bądźmy Kordeckimi i Skargami!!!

KSIĄDZ ŚLEPOWRON.

POEZYE.

ŚPIEW.

W koło mgły — w koło noc —
Idzie z pól cichy wiew —
Zkąd ta w palcach mych moc —
A na ustach ten śpiew?...

Struny brzmią dziwną pieśń —
Dziwny bucha z niej żar —
Nie przegryzła ich pleśń —
Kipią pieśnią jak war...
A wstań pieśni — a idź
Do tych pól — do tych chat —
Gdzie pytają — jak żyć —
Jak zapomnieć swych strat.
A idź pieśni — a budź
Zasmucony ten lud —
Co w dziurawą siadł łódź —
Próżno czeka na cud...
A idź pieśni — a mów —
Jaka straszna tam toń
Ile zczezło w niej głów —
Jaka na to jest broń...
Stań na grzbietach tych fal —
I białością swą świeć...
Weź na skrzydła ten żal
I do Boga z nim leć...
Idź już pieśni — a rzuć
Snopem światła na szlak,
Gdzie tonąca drży łódź —
A stargany jej znak.

ROZKAZ.

Bóg mi rozkazał w księżym stanąć gronie —
Tulić do piersi krzyża świętą stal —
Prowadzić tłumy w zamogilną dal —
Na bratnich skroniach kłaść ukojeń dłonie...
O biedne ptaszę, co przez morskie szlaki
Wątłemi skrzydły leci w siną dal —
Zmęczone padnie na grzbiet zimnych fal
A bratnie — dalej pofruną orszaki...
Wytężam oczy smutnej mojej duszy
W stronę — gdzie głębin przeciwległy brzeg...
Widzę — jak fala wątłe łodzie kruszy...
Drżę, bo w tonących poznaję rodaków

Chłopskie siermięgi — białe jak śnieg...
Oto mnie więcej nie trwoży kręg szlaków.

KSIĘŻULEK.

Kuma kumie na ucho powiada —
Że cherlaka przysłali na zgubę —
Bo też blada księżyny twarz, blada —
Ale dobrze księżyna spowiada
I cherlactwa nie bierze w rachubę.
Za kratkami — od świtu do nocy —
A przystępny — a taki miluchny —
A kazanie u niego — jak z procy
A nie jeździ księżyna w karocy,
Jeno taki ma wóz ubożuchny...
Lub piechotą — od chaty do chaty
Idzie sobie — a gwarzy — wciąż gwarzy...
A czy biedny kto jest — czy bogaty —
Wszyscy — równe dla niego są braty —
Jako niby u Pańskich ołtarzy...
A książeczek ojczulek ma wiele
I każdemu pożycza — kto prosi —
Więc po sumie w każduchną niedzielę
To się ludu u niego przemiele —
Ten pożycza, ten znowu odnosi,
A do rady biedactwo ochoczy —
A niedolę pociesza, jak może
Więc gdy kogo niedola zamroczy —
Temu kamień niedoli odtoczy —
Lecz i pustki ma wieczne w komorze...
A miłują go też parafianie —
Że na męki iść za nim gotowi —
I przylgnęli ku jego sutannie
I tak myślą — że wiecznie ostanie
Ten ojczulek sierocy i wdowi...
A tu wiosną wieść przyszła jak chmura —
Że ojczulka Moskale zabiorą...
Długo wieść ta chodziła wśród ludzi,
Jako grzmoty zwiastujące burze —

Aż ucichła... w tem grom wszystkich budzi,
Że ojczulek już w drodze się trudzi,
Na wygnanie gdzieś jadąc — na duże...
Jęczą dzwony w niedzielę złowrogo —
Tłumy nawy zaległy w milczeniu...
Zadumały się tłumy te srogo —
Bo zrozumieć te tłumy nie mogą
I własnemu nadziwić cierpieniu...

BĄDŹ BŁOGOSŁAWIONY.

Zanosiło się na burzę. Ciężkie ołowiane chmury zawisły nad ziemią, zasłaniając słońce, które trwożliwie kryło oblicze przed potęgą obcych żywiołów; zerwał się wicher, zaszumiał las, trawki smutnie pochyliły główki, wszystko co żyło w naturze, z niepokojem szeptało: burza nadchodzi. Nagle pękły ciężkie opony, oddzielając niebo od ziemi, padła kropla, za nią druga... trzecia... dziesiąta... setna... z wyżyn popłynął strumień wód i, jękiem nanapełniając przestworza, niebo pobudził do płaczu. I załkało niebo... a każda kropla, jak łza matczyna omyła ziemię, przesiąkniętą krwią, spowitą cierniem. Choć ludzie posmutnieli, spalona od żaru słonecznego ziemia z chciwością, jak dziecię, ten napój piła. Gdy burza zapędziła pod strzechy synów, co pługiem ojczystą ziemię orali, jeden jedyny pozostał na wzgórzu przygarbiony wiekiem krzyż drewniany.

Ten się nie uląkł i mimo, że nad głową jego huczały gromy i wichry, mimo błyskawic i wstęg ognistych, które smoliły mu ramiona, stał niewzruszony... niemy... z tym samym wyrazem nieopisanego bólu i cierpienia, jakiego doznawał, gdy kruki Polskę na strzępy szarpały!... A widział już w życiu nie jedno. Ileż tam pożarów oświecało jego postać? Widział płonące zdala wioski, z których dochodziły jęki i płacze katowanych bezlitośnie dzieci, ofiar przywiązania do ojczystego zagona. Wzrok jego śledził z wysokości zapasy garści niewinnych owieczek ze straszną gromadą wilków, a później krwawą zemstę siepaczy. Przed nim przesuwały się setki kibitek, w których rozpoznawał blade wynędzniałe twarze starców. A kto raz w życiu widział te twarze, ten ich nie za-

pomni na progu wieczności. Obok sukni kapłańskiej leżały na wozie zgrzebne koszule, białe świtki, barwne sukmany; pan obok sługi, uczony z prostaczkiem, rzekłbyś: pogrzeb polski. Każdy z nich poglądał załośnie na krzyż przydrożny, jakby w tem spojrzeniu wyrażał ostatnie pożegnanie, zamykał myśli swoje, polecał opiece Ukrzyżowanego wszystkich i wszystko, co ukochał na tej biednej ziemi, a co przemocą z serca mu wydarto i okuto w kajdany...

A łzy spływały po obliczu Ukrzyżowanego na widok bezprawia, gwałtów i zbrodni, wołających o pomstę do nieba! Aż wreszcie z nadmiaru żałości i łez już zabrakło — skamieniał!... Stał więc niemy, lecz nadsłuchiwał... Lata biegły. Mało kto o zgliszczach i pożarach wspominał. Mówiono, że wiele się zmieniło na świecie od owych strasznych dni. Ludzie pono dojrzeli i wzięli się do poważniejszej pracy, wiedza i pożytek były na ustach; dawne ideały złożono do trumny; zaledwie cząstka młodych serc grała na lutni wolności, lecz tych ośmieszono lub ginęli w szarym tłumie. Uzurpatorowie przewodnictwa w sprawach krajowych zaczęli uroczyście przemawiać, że tylko ślepe poddaństwo i zupełna uległość wobec żądań ciemięzców zapewnić mogą spokój i ocalić naród od zagłady.

Mówiono, że na sukniach sług bożych zamiast wizerunków krzyża, coraz częściej błyszczały dziwnego kształtu wschodnie amulety pozłacane — że kontusze i żupany zamieniono na fraki pstrokate, na piersiach potomków dawnych hetmanów, obrońców Ojczyzny, wisiały oznaki służalstwa i lokajstwa, że młodzież hartowała ducha i ciało w jaskiniach gry, a w wierze szalonych orgii serce kąpała... Tak mówiono, a krzyż, choć wierny, słuchał i ważył w myśli to, co ongi żyło, jak kwiat piękny i wonny, — a dziś, jak pieśń przerwana — zamarło.

W tem tuż przy drodze na rozstaju zaszeleściała trawka, drgnął kamyk jakby siłą wyższą pozwany i potoczył się z łoskotem. Upusty niebieskie przycichły. Na tle haftowanych pól zamigotała sylwetka ludzka. Błysnęło z nienacka zaciekawione słonko i smugi światła oblały pomarszczoną twarz zgarbionego i nędznie przyodzianego starca. Snadź siły nie dopisywały, gdyż często przystawał, wspierał się na kiju i po chwili wypoczynku dalej podążał. Spostrzegłszy na wzgórku krzyż, już zdala nachylił czapki i w pobożnej zadumie zbliżał się do Ukrzyżowanego. Gdy doszedł, padł na kolana i z ust jego popłynęła cicha, rzewna modlitwa:

Witaj Zbawco mój na ziemi mogił, łez i krwi!... Dzięki Ci, iżeś pozwolił mi Polskę oglądać przed śmiercią, że usłyszę dźwięk mowy rodzinnej, nakarmię wzrok duszy widokiem łąk i pól, szemrzących strumyków i srebrzystych rzeczółek, że na cmentarzu wraz z brzozą nad grobem poległych ojców i braci zapłaczę. Grzesznikiem byłem, lecz od owych pamiętnych dni, gdy pozwano mię z przed pańskich ołtarzy od moich owieczek, pokutowałem i ciężko pokutowałem. Tyżeś Chryste cierpiał, spójrz na moje rany, zadane ołowiem i kajdany, dodaj mi tylko siły, bym ujrzał dawną ojców chatę i ten ubożuchny, wiejski kościółek, w którym głosiłem ludowi pacierze i miłość Ojczyzny zalecałem!...

Westchnął Sybirak i otarł rękawem łzę z policzka. Nagle zerwał się i jął się wsłuchiwać w echo własnej duszy. A tam coś mówiło, niby z krzyża wzięte:

I tyś cierpiał za świętą sprawę — tyś wytrwał, kapłanie, nie zdradziłeś mię... bądź przeto błogosławiony.

Ogończyk.

Z NASZYCH SPRAW.

WARSZAWA.

Do smutnej historyi klasztorów w naszej dyecezyi należy zanotować ostatni fakt: OO. Kameduli na Bielanach istnieć przestali! O. Marczewski miłościwie mianowany rektorem klasztoru, O. Zegarski zaś zakrystyanem! (Obecnie zrzekł się tej godności). Dopełnienia zaszczytnej funkcyi podjął się ks. Dudrewicz, kanonik i dziekan warszawski. Fakt ten przeszedł bez najmniejszego wrażenia — nie mówiono o nim wcale — co najwyżej notowano fakt sam, jakoby zwyczajną wieść brukową, bez żadnej nawet prywatnej dyskusyi. *Sat!*

Ustępstwa dla rządu w sprawie umiejscowienia i ugruntowania przedmiotów państwowych w seminaryum naszem w tym roku, jak fama niesie, dopiero na skutek doraźnego bodźca z Rzymu częściowo choć są przerwane. Tematu do piśmiennego egzaminu Arcypasterz nie przyjął, egzaminu z rosyjskiego dla braku porozumienia nie było. W roku ubiegłym, gdy jeszcze Moskale zadawalniali się mniejszemi zdobyczami w seminaryum — klerycy na temat, dany przez Arcypasterza, napisali ćwiczenia dobrze, — podobno nawet bardzo dobrze i nie dziw: *primo* mają piękny wzór w swoim regensie X. Kakowskim, który zostawszy przełożonym seminaryum na gwałt sam począł się uczyć gramatyki rosyjskiej; — *secundo*: udzielono im czasu na przygotowanie w trójnasób więcej, aniżeli na przedmioty fundamentalne, związane ściśle z ich powołaniem. Dogmat, prawo, pismo etc., wszystko poszło w kąt przed rzą-

dowym przedmiotem! Brawo, brawo! dotąd wychodziliśmy z seminaryum bez znajomości języka polskiego, teraz dobrze władać będziemy państwowym — ale co będzie z przedmiotami kościelnymi?!

Profesorowie, jedni po cichu ubolewają nad tem wszystkiem, ale nie śmią najmniejszego kroku uczynić, by temu zapobiedz, drudzy najspokojniej wypełniają rozporządzenia Arcypasterza, bo te w zupełności zgadzają się z ich przekonaniem — bo tak im nakazuje lojalność i dziwnie podejrzanie umotywowana miłość Kościoła i Ojczyzny! Alumni szemrzą powszechnie; to też, gdy doszła nas tu fama w swoim czasie o rzekomej opozycyi alumnów seminaryum włocławskiego, nie zdziwiliśmy się wcale. Smutnym objawem byłaby taka kolizya z najbliższą swoją władzą — to pewno — ale któżby temu był winien? Są chwile, w których posłuszeństwo prawnie i logicznie ustaje. Wogóle kierunek dzisiejszy w seminaryum znieprawia słabych, uczy ich na stronę stawiać interesy nietylko Ojczyzny, ale i Kościoła; więcej rozwiniętych — charaktery silne zniechęca do przełożonych i wyzuwa z należnego dla nich zkądinąd poszanowania i miłości. Podobny duch wieje z konsystorza, nastrojonego ugodą (właściwie należałoby powiedzieć „niskiem tchórzostwem“) na ogół naszego duchowieństwa. Przykład z góry rodzi i w nas marnych proboszczach politykę ustępstw, zapoznawania swoich praw, ba, nawet godności kapłańskiej. Co tu mówić o ustępstwach. Tam nawet, gdzie nas o nie jeszcze nie turbują sami, nie wiem czy przez krańcową głupotę, czy niedbalstwo i nieznajomość tych praw, jakie nam jeszcze przysługują, czyli też wreszcie przez tchórzostwo, nakazujące uprzedzać żądania Moskali — czynią się rzeczy wprost monstrualne.

Z dniem 1 lutego st. st. r. 1894 poczęliśmy z władzą konsystorską „goworit' po ruski“ — ha trudno, może to nawet piękniej dla kogo brzmi: „Wasze Preoswiaszczeństwo“ albo „Sudja Surrogat warszawskowo Kapituła“. Polski język wyrzucono całkowicie, łacina jednak pozostała jeszcze, dzieląc pokornie dotychczasowe panowanie swoje z nowo-zaprowadzonym językiem rosyjskim. W okólniku, który powiadamia ogół duchowieństwa o tej reformie z dnia 17/29 stycznia 1894 r. Nr. 530, podpisanym przez X. Biskupa Ruszkiewicza, czytamy:

„Konsystorz Jeneralny poleca Szanownemu Duchowieństwu, aby z dniem 1/13 lutego r. b. w korespondencyi oficyalnej z władzą archidyecezalną posługiwało się językiem kościelnym-łacińskim, we wszystkich sprawach, odnoszących się do kultu religijnego, administracyi Sakramentu św. (słowem we wszystkich rzeczach, tyczących się służby Bożej)“ — dalej następuje orzeczenie, kiedy używać należy języka rosyjskiego. Pomimo powyższego i sam Konsystorz i kancelarye parafialne idą dalej i uporczywie rzekłbyś pracują nad wyrugowaniem łaciny z jej ostatniej dziedziny. I tak kursorye o dorocznej spowiedzi terminatorów (w Warszawie) „na russkom jazykie“ — o porządku danego nabożeństwa galowego „po russki“ — (czasami redagowane po łacinie — widać, że to zależne nie od prawa, lecz od dobrej woli referenta — gdyby tak zredagował coś po łacinie zamiast po rosyjsku, pewno płazem by mu to nie uszło; w tym jednak wypadku niema komu skarcić tego co naj-

mniej niedbalstwa). W kancelaryach znów parafialnych za regułę sobie niejako wzięto wszystko pisać po rosyjsku — wyłączając jedynie te sprawy, na które mają podane urzędowe szematy łacińskie — stąd, wcale do rzadkości nie należy zaliczać np. upoważnień *(delegatio canonica)* do dania ślubu, świadectw zapowiedzi wyszłych etc., wydawanych w języku rosyjskim. Tak jest teraz, co będzie dalej? *adhuc modicum*... i pojechać możemy po tej spadzistej drodze prędzej, aniżeli się spodziewamy, pomogą nam Moskale, widząc nasze „dobre chęci“! Oto już pomagają — zażądali formowania spisów inwentarzy kościelnych w języku rosyjskim, co dotychczas na mocy zwyż wspomnianego okólnika uskuteczniane było po łacinie, uchwalono projekt kontroli dochodu kościoła z puszek i tacek etc. etc.

Taka to już nasza gorliwość — zaiste uprzedzająco grzecznymi się pokazujemy nietyle może dla rządu, ile dla jego przedstawicieli w osobach, na swoją rękę politykujących satrapów i satrapiątek; mówię, nietyle dla rządu, bo rząd to dla nas jakieś pojęcie abstrakcyjne — my znamy tylko rządców: Warszawa ma Czortkowa i pana Lichaczewa, my naczelnika powiatu, potem straży ziemskiej i całą sforę strażników. To są panowie, dla każdego *respective* życia i śmierci; od tych panów i ich postanowień choćby najnielegalniejszych w naszem pojęciu i praktyce niemasz apelacyi, a jeżeli, *carissime*, masz krewkości wiele i zechciałbyś szukać gdzieś wyżej sprawiedliwości — wiedz, że to nie tylko w oczach twego „rządcy“, ale i Konsystorza i ogółu jest *crimen*, o jakiem myśleć się nie godzi; większość konfratrów warchołem cię nazwie i burzycielem porządku społecznego, Konsystorz co najmniej za nietaktownego cię osądzi, a z taką opinią w odmęcie zapomnienia utoniesz, za podnóżek do sławy i godności „taktownym“ służyć będziesz — conajmniej, w zwykłym bowiem biegu rzeczy, kto tu u nas zadrze, że się tak wyrażę, z rządem, dostaje w skórę przykładnie i podwójnie. *Primo* od rządu, *secundo* od władzy konsystorskiej. Jużeśmy tak do tego przywykli, że nie potrafimy wyobrazić sobie w naszych stosunkach typu Konsystorza, któryby umiał bronić sprawy podwładnego sobie księdza z moskiewskim rządem.

Kierunek wychowania w seminaryum i zły przykład tworzą najopaczniejsze charaktery i dziwne pomieszanie pojęć. Naprzykład za rzecz zupełnie właściwą i roztropną uważamy podpieranie się łapówkami przy wszelkiego rodzaju sprawach, gdzie chodzi o placet rządowe — opłacamy regularny haracz pod rozmaitemi formami naczelnikom i strażnikom, by się ustrzedz od mogącej się wydarzyć w przyszłości jakiej odpowiedzialności (rodzaj ubezpieczeń), podejmujemy gościnnie u siebie naszych naczelników i ich małych pisarków, a to się nazywa „proszeniem dyabła w kumy, gdy się mieszka na przedpieklu!“ Z tego samego punktu wysokiej dyplomacyi wychodząc, bywamy u „naczelników“ (to rzadsze), a młodzi wikaryusze po przybyciu na nową parafię składają wizytę (a jakże!) swoim naczelnikom; to ostatnie, dawniej niebywałe, obecnie od czasu do czasu widzieć się daje. Czyżby i tego uczyli ich w seminaryum dzisiaj? Często też spotkasz się z takim patryotą, który będzie

ci dowodził: „Uważasz, w naszem politycznem położeniu my kapłani nie powinniśmy wychylać się z kościoła, ale w nim tylko, nie mieszając nic polityki, pracować nad umoralnieniem ludu — oto nasze zadanie — reszta furda, Ojczyzny nie zbawisz, a siebie zgubisz“ — i niczem, żadnymi argumentami tego sofizmatu z głowy mu nie wybijesz. Księdzu każe pilnować kościoła, doktorowi *(per consequentiam)* chorych, adwokatowi klientów i ich spraw, urzędnikowi pióra, szewcowi kopyta etc., a kłopoty o sprawy narodowe, o wywalczenie utraconej niepodległości, w słodkiem, mistycznem uniesieniu zostawia Niebu! Takie i tym podobne zapatrywania, pojęcia, metody postępowania są uznawane za godziwe i „roztropne“. To są mądrzy i roztropni z okresu, jaki, dzięki Bogu, *vergit ad finem!* Natomiast głupimi fanfaronami, awanturnikami nazywamy jeszcze tych, co robią niepotrzebne sceny, gdy im przyprowadzą kacapa lub kacapkę na chrzestnych rodziców — co narażają na prześladowanie Kościół *in universo,* starając się odwieść pannę od wejścia w związki małżeńskie z prawosławnymi, co odgrzebują „skończoną sprawę unitów, czyniąc im posługi duchowne!“ Socyały i demagogowie, którzy śmią krytykować stan rzeczy, mówić o koniecznym obowiązku pracy na polu narodowem!

To jest jedna strona medalu — druga przedstawia się jeszcze niejasno, ale bodaj, że rychło zarysuje się i w piękne linie a barwy się przystroi. Poczynamy się ruszać, tworzy się zastęp kapłanów myślących, dla których sprawy, jakie się teraz rozgrywają, nie przechodzą bez uwagi, którzy mniej lub więcej jasno zdają sobie sprawę z obecnego położenia i swoich obowiązków. Ruch ten powiedziałbym u nas jest jeszcze bezwiedny, bądź co bądź śmiało twierdzić można, że nastąpi niezadługo ogólne odrodzenie ku lepszemu — wszystko, na co patrzymy, każe nam się spodziewać tego.

Ogół młodych księży, trzymany na wodzy podwójnym terroryzmem Konsystorza i rządu, pracuje po cichu i ostrożnie na niwie ojczystej, ale coraz więcej widać tej maluczkiej, samodzielnej pracy. Tacy, co w swoim czasie np. nie pozwalali chłopu czytać *Polaka*, już nie istnieją. Owszem sami się garną do nielegalnej literatury, i cóż więcej? no mógłbym tu, jeżeli nie większy, to pewnie nie wiele mniejszy referacik i o cnotach, jak wyżej o błędach, napisać, ale *timeo!* Mówmy sobie lepiej o błędach naszych i brakach, by pierwsze naprawić, drugie dopełnić, a dobro samo się pokaże. Ot powiem wam raczej trochę o tem, co u nas porabia „prawosławie“. Miewa się ono coraz lepiej — coraz pewniejszą stopą na ziemi naszej staje. Cerkwie mnożą się jak grzyby po deszczu. Warszawa, a za nią miasta i inne miasteczka nawet powiatowe świecą zdaleka złoconemi kopułami, budowanemi i złoconemi za nasze pieniądze. Ta prawdziwie azyatycka bezczelność dochodzi do tego, że już się nawet z nią nie kryją — zamiast kradzieży dawnej uprawiają jawny rabunek. Oto fakty dosłownie z *Warszawskiego Dziennika* zaczerpnięte:

„Kancelarya generał-gubernatora warszawskiego zawiadomiła Radę miejską dobroczynności publicznej, że na skutek najpoddańszego raportu ministra spraw wewnętrznych Jego Ces. Mość Najjaśniejszy Pan rozkazać raczył wyasygnować z pozostałości najwyżej ustanowionego w dniu 24

kwietnia 1890 r. podatku na utrzymanie zakładów dobroczynnych warszawskiej Rady miejskiej dobroczynności publicznej na zaokrąglenie funduszu 12.336 rubli, przeznaczonego na budowę cerkwi prawosławnej przy szpitalu w Tworkach. Rada postanowiła niezwłocznie przystąpić do budowy cerkwi, która stanąć ma obok kaplicy katolickiej". — Dalej: „Generał-gubernator warszawski na skutek starań gubernatora radomskiego, nie znalazł ze swej strony przeszkód do asygnowania z funduszu kasy miejskiej m. Staszowa jednorazowego zasiłku w sumie 1000 rubli na zakup placu pod budowę w tem mieście cerkwi prawosławnej dla 40 pułku dragonów małorosyjskich". A teraz dla porównania jeszcze jeden fakt z naszych już gazet wzięty: „Kościołowi Świętokrzyskiemu na Łysej Górze grozi ruina. Chyli się do upadku odwieczna świątynia, do której Władysław Jagiełło w roku 1410, przed wyprawą na Krzyżaków, szedł pieszo z Nowej-Słupi, aby klęcząc u stóp krzyża świętego, na modlitwie dzień cały strawić i wybłagać u Sędziego Sędziów sprawiedliwość i karę na łupiezców i gwałcicieli wszystkich praw Bożych i ludzkich" — komentarze zbyteczne!

Za wzrostem liczebnym cerkwi idzie powiększenie zastępu prawosławnego duchowieństwa. Pop, który do niedawna jeszcze był rzadkością na ulicach Warszawy, dziś reprezentowany jest we wszystkich odmianach *sui generis* bardzo licznie.

Ale, a propos popów, niechże mi wolno będzie acz z boleścią podkreślić fakt z niedawnej przeszłości — fakt świadczący powiedzielibyśmy o upodleniu, gdybyśmy zkądinąd nie znali sposobu myślenia i postępowania księdza, który tu rolę odegrał. Tym razem nazwijmy to zapomnieniem się... — do granic ostatecznych.

Nie będziemy sprawy całej opisywać i wyszczególniać, coby równało się w skutkach odsłonięciu nazwiska tego księdza prefekta, który powodowany miłością rodzinną dla uzyskania pewnej koncesyi dla swego brata (co zależało od popa) — wyprawił w restauracyi u Jeżewskiego w Warszawie ucztę — do której zasiadł z bratem w towarzystwie popa i studenta politechniki Moskala — uczta była suta, jeden tylko pop trzeźwym pozostał!

ŁOWICZ.

Z radością dowiadujemy się, że tutejszy prefekt szkoły realnej, osławiony moskalofil, nosi się z zamiarem ustąpienia ze stanowiska. Działalność „kuratoryów trzeźwości" na Księstwie nie ustaje. Od czasu do czasu duchowieństwo dekanalne otrzymuje uprzejme zaproszenia ze strony rządu do zapisywania się na członków tej „humanitarnej" instytucyi, oraz odbiera próbne numery *Oświaty*. Należy się mieć na baczności i nie wrzucać grosza do worka Judaszowego.

GOSTYNIN.

Przyzwyczailiśmy się do łapówek pana Massino, naczelnika straży, lecz z niesmakiem zaznaczamy brak godności obywatelskiej u niektórych księży w stosunku do miejscowych władz administracyjnych. Widok ka-

płana Polaka, zajmującego tak poważny posterunek w życiu religijno-społecznem kraju, kapłana, powtarzamy, który całuje i ściska się z policyjnym pachołkiem — czy to nie przykra ilustracya do charakterystyki: czem żyje i jakimi ideałami karmi swą duszę duchowieństwo prowincyonalne? Nie robimy zarzutu wszystkim, jeno piętnujemy nietakt, bezmyślność czy zanik honoru ludzi, zasługujących na naganę.

Kokietowanie panów naczelników nie wpłynie na zmianę ich postępowania, co więcej, ośmieszy w oczach moskali umizgi księżowskie. Mimo tych „przyjaźni“ (*sit venia verbo*) dość często słyszymy o karach pieniężnych, nakładanych na księży przyjeżdżających w Gostyńskie bez paszportu. Nawet kondekanalne duchowieństwo podlega tym karom, jeżeli się zjawi bez paszportu w Gostyninie. Jedynie wezwanie urzędowe przez Dziekana, uwalnia księdza od odpowiedzialności, gdyby nie miał paszportu.

KUTNO.

Upomnienie często przynosi wbrew orzeczeniu „groch na ścianę“ pożądane owoce. Dziekan tutejszy zaprzestał już nauk parafialnych na temat „oddajcie cesarzowi co jest cesarskiego“, który tyle zgorszenia wywołał. Pożądanem jest, aby ksiądz Protonotaryusz wziął jeszcze do serca jedną uwagę: nie wypada się chwalić (!) w rozmowie z przedstawicielami policyi i żandarmeryi znajomością języka rosyjskiego. Panów tych zmusić do mówienia z nami po polsku nie możemy, lecz ponieważ język polski jest dla nich nie obcy, powinniśmy się jedynie w języku ojczystym wysławiać.

SOCHACZEW.

Od czasu głośnego zajścia ks. Stańczuka z naczelnikiem miejscowej policyi, władze administracyjne wzięły nas pod szczególną opiekę. Wywiezienie ks. Stańczuka ochłodziło nieco „zwolenników“ podtrzymywania przyjacielsko-towarzyskich stosunków z panami „naczelnikami“. Wiadomo bowiem, czem się takie zażyłości przy kieliszku lub kartach kończą. Znamy wypadek w Kutnowskiem, że naczelnik straży formalnie najeżdża plebanię i do tego w towarzystwie żony, dzieci i służby. Nazywa się to „odwiedzinami“ miłego księdza. Odwiedziny te kończą się wypróżnieniem zapasów plebańskich i.... pożyczką bezterminową. Kwestye paszportowe w Sochaczewskiem bardzo są utrudnione. Od humoru naczelnika zależy udzielenie paszportu księdzu, proszonemu na odpust do sąsiedniej parafii. W roku ubiegłym mieliśmy tu szykanę ze strony władz świeckich, tem boleśniejszą, ile że już nie tyle nas osobiście, ile rdzennych praw Kościoła pod każdym względem dotyczy. Odkładamy na inny raz szczegółowy opis tej szykany i rozbiór krytyczny jej przebiegu, tymczasem notując tylko kronikarskim sposobem sam fakt. Na oficyalne rozporządzenie dziekana sochaczewskiego, ks. Sadowskiego, w myśl prawa kanonicznego i rozporządzeń biskupich wszędzie i zawsze praktykowanych, zjechali się księża kondekanalni w celu wzięcia udziału w zwykłym dekanalnym egzaminie z teologii. Bogu ducha winni konfratrzy razem

z dziekanem, na skutek raportu naczelnika, za branie udziału w niedozwolonych zjazdach, sposobem administracyjnym przez p. Czertkowa skazani zostali na grzywnę do wysokości 50 rubli, ks. dziekan zaś (dla uczczenia godności pewno) na rubli 100. W tej chwili wszyscy już karę popłacili!

ŁĘCZYCA.

Nie umiemy sobie wytłómaczyć powodu, dla którego ks. dziekan łęczycki zachęca lud, aby uczęszczał do herbaciarni, założonej przez kuratoryum trzeźwości? Nie przypuszczamy w tem złej woli, ale i ignorancyą tego wytłómaczyć nie można. Wszak ksiądz Z. wie chyba aż nadto dobrze, jakie cele miał i ma rząd w zakładaniu herbaciarni. O naiwność dziekana nie posądzamy. Wprawdzie ks. Z. należy do rozbitków „ugody", i wyraźnie zaznacza swoją lojalność, co więcej, nie wstydzi się pokazywać gościom fotografii, na której on, poważny kapłan, figuruje pośrodku dwóch naczelników. Snać obcowanie z moskalami zeszpeciło charakter człowieka, nie pozbawionego skądinąd pewnych zasług hierarchicznych. Widocznie i prefekt szkół tutejszych, mający doskonałą „markę" u moskali, niemało na usposobienie i postępowanie dziekana wpływa. P. S. Witkowski, b. pomocnik naczelnika powiatu, otrzymał dymisyę od jenerała-gubernatora warszawskiego za to, iż przed rokiem, w czasie obiadu pożegnalnego wydanego dla ustępującego ze stanowiska naczelnika powiatu p. Kowalewskiego, wygłosił przemowę po polsku, jednocześnie za to samo „przestępstwo" sekretarz hipoteki, p. N., otrzymał surową naganę. Naczelnik powiatu Nowosielskij, który gra rolę „liberała" i pije z księżmi przy zielonym stole, częściej obecnie obcuje z żandarmem i bez ceremonii wyciąga rękę po... łapówki. Pan ten za nic poczytuje tutejsze duchowieństwo, skoro śmiał najechać z dwoma oficerami kozackimi pewnego proboszcza i pić u wystraszonego tą wizytą plebana przez pół dnia. Mamy tu inną postać w czapce policyjnej. Jest nią niejaki Michałowskij — typ skończonego szpiega. Zażądał on niedawno (bezprawnie) od Zarządu Tow. Oszczędności i Pożyczkowego wykazów, który z członków do jakiej religii należy. Odpowiedziano, że zarząd od nowo wstępujących członków legitymacyi nie żąda. Moskal się wścieka i grozi, choć pogróżki te nie powinny wpłynąć na zmianę pozycyi, jaką zajął Zarząd Towarzystwa względem żądań Michajłowskiego.

ŁOMŻA.

Cicho u nas i smutno. Cerkwie kopułami upstrzyły miasto, które ma wygląd nawskróś prawosławny. Kościoły nasze, jakby się wstydziły tej pychy schyzmatyckiej, pochowały się w gąszczu zieleni, z której ani jedna wieżyczka w górę nie strzeli. Moskiewszczyzna rozpanoszyła się na dobre i pędzi ogromną falą naprzód, aby jak najprędzej pochłonąć w swych mętnych falach poczciwe serca polskie. A zagląda ona wszędzie, wdziera się do najświętszych uczuć. Popi panują wszechwładnie: kołokoły brzmią przeraźliwie, a nasze świątynie drzemią. Zdawałoby się, że na takiej placówce winna być dobra obsada, że duchowieństwo nasze winno

przeciwdziałać temu rozpościeraniu się prawosławia. Niestety, Łomża nie ma nawet proboszcza! Wierzyć się po prostu nie chce, żeby miasto gubernialne, parafia kilkunastotysięczna była synekurą. Tu, gdzie potrzebny jest światły i gorliwy pasterz, gdzie konieczna prezentacya katolicyzmu zalewanego przez prawosławie, gdzie powinien być dziekan, jest tylko trzech wikaryuszów, którzy jako młodzi bawią się wesoło, spełniają swe obowiązki maszynowo, ale o pracy na szerszą miarę nie myślą — i trudno od nich tego wymagać.

A wspaniały kościół starożytny? a pomniki w nim, a nabożeństwa? Rozmaicie to bywa. Zależy to od usposobienia księży wikarych, którzy, jako tacy, ciągle się zmieniają i rzecz prosta, jako tacy nie mogą mieć stałego, a stąd i głębszego wpływu.

Skoro tak jest w Łomży, to czegóż się spodziewać po okolicy? Mamy wprawdzie księży gorliwych, ale apatycznych. Do pracy w obszerniejszem znaczeniu namówić trudno. A pracy potrzeba, pracy olbrzymiej. Dziś idziemy na męczeństwo i tylko męczeństwem możemy dojść do zwycięstwa. Ale mało jest takich, którzyby chcieli być męczennikami.

W najdrobniejszych rzeczach powinniśmy być oporni, ale nie opieramy się nigdy. Weźmy następujący przykład: Niektórzy księża w Galicyi chwalą rząd moskiewski, że nie bierze od księży podatków; ale są w błędzie. Podatków prawnych wprawdzie u nas nie ma, bo i z czegóż ksiądz płacić będzie, skoro mu moskal zabrał beneficyum i wypłaca marną pensyę? Ale są podatki inne, stokroć większe od prawnych. Księża w gubernii łomżyńskiej płacą 3 ruble za dziennik urzędowy, półtora rubla na książkę powiatową, rubla na ślepych. W niektórych powiatach łapówki przy odbieraniu pensyi za poświadczenie podpisu półtora rubla. Za paszport około 10 rubli. Razem stałego podatku 16 rubli (przeszło 40 koron). Podatki nadzwyczajne: Pożegnanie naczelnika powiatu 6 rubli, pożegnanie jego pomocnika 6 rubli, podarunek dla naczelnika żandarmów 6 rubli, pani gubernatorowej na choinkę prawosławną 5 rubli, panu Spirydonowi za portret cesarski (wartości pół rubla) 6 rubli, p. Spirydonowi (naczelnik powiatu, sławny złodziej) rocznej łapówki 10 rubli (wikary 3 ruble), na fantową loteryę (naczelnikowi powiatu) 5—10 rubli. Na rannych żołnierzy, na syfilityków i inne choroby moskiewskie *ad libitum*, a więc liczmy 1 rubla. Wyniesie razem około 50 rubli. A jeżeli doliczymy do tego różne łapówki przy prowadzeniu interesów, poczęstunki, przyjmowanie moskali, to śmiało możemy powiedzieć, że każdy ksiądz płaci podatku minimum 50 rubli rocznie.

Czy się który temu oparł? Gdzie tam, płaci, choć w duszy przeklina. A inne sprawy. Gubernator łomżyński nakazał odprawiać nabożeństwo za cara Aleksandra II. i przytem wytłómaczyć zgromadzonemu ludowi o wielkich dobrodziejstwach jakie ten władca wyświadczył włościanom. Nikt nie postawił *veto*. Z bardzo małym wyjątkiem, we wszystkich parafiach odprawione zostało nabożeństwo za spokój duszy sławnego nieboszczyka, który tysiące Polaków pognał na Sybir, który zalał Polskę Murawiewami i innymi wieszatielami, a który podług mniemania

popów jest w niebie. Nabożeństwo to tem przykrzejsze wywarło na nas wrażenie, iż w ten sam dzień wypadła rocznica koronacyi Ojca św.

Duchowieństwo nasze nietylko nie opiera się niegodziwym wymaganiom urzędników, ale robi jeszcze więcej z własnej chęci. W ostrołęckim powiecie w wielu kościołach śpiewają w dnie galowe „Boże caria chrani“, a w niektórych w zwykłe niedziele nawet.

Z osobników, kalających suknię duchowną służalstwem względem rządu, dodam do osoby osławionego, jak nam doniósł *Przegląd Wszechpolski*, proboszcza z Kadzidła, ks. Bosackiego, jeszcze lepszy egzemplarz. Jest nim niejaki Mieczysław Kapszewicz, proboszcz z Nuru. Człowiek ten pragnie za jakąbądź cenę wybić się z pośród tłumu. Ale drogą uczciwą celu swego dopiąć nie umie, przeto postanowił oddać się na służbę Moskwie. Używa publicznie języka rosyjskiego w mowie potocznej; biednym swym parafianom wymyśla tym obfitym w dosadne wyrażenia dyalektem, grozi im po murawiewsku „soszliu w Sybir“ i tym sposobem udaje człowieka wielkiego. Za tę swoją gorliwość otrzymał „krest“ i nosi go ustawicznie, jak jaki talizman, i zarabia sobie na inne jeszcze odznaczenia. Licha i smutna sława. W następnym liście doniosę więcej.

Ks. Kurp.

LUBLIN.

Nad rzeką Wieprzem, w powiecie Zamojskim, o trzy mile od Zamościa, położona jest osada Krasnobród. W kościele tamtejszym znajduje się obraz Matki Boskiej Krasnobrodzkiej, wsławiony cudami. Każde niemal święto Matki Boskiej obchodzone było tam uroczyście odpustem, a lud z dalekich okolic odbywa liczne pielgrzymki do tego miejsca słynnego cudami. Moskalom nie podobają się takie miejsca cudowne. Pielgrzymki ludu z dalekich okolic drażnią ich, a pobożność i silna wiara ludu razi dziki ich wzrok; to też przed dwoma laty jenerał-gubernator warszawski pokasował niektóre odpusty, a obecnie wydał rozporządzenie, że nie wolno kompaniom iść z krzyżem ani też śpiewać pieśni pobożnych. Kompania Hrubieszowska, jedna z liczniejszych, nic nie wiedząc o takiem rozporządzeniu, na odpust nawiedzenia Matki Boskiej, który przypada 2 lipca, szła z krzyżem. I kiedy już zbliżała się do miejsca cudownego, rzucili się na niosącego krzyż strażnicy, porwali na nim komżę, połamali krzyż, pokaleczyli człowieka, a całą kompanię rozpędzili. — Przyczynek do tolerancyi w Rosyi!

Przed kilku laty wyszło rozporządzenie, aby przysięga w sądach od świadków była odbierana w tym języku, jaki świadek najlepiej rozumie. Tymczasem sędziowie moskale odbierają przysięgę od wszystkich bez różnicy po rosyjsku, a nawet posuwają się jeszcze dalej, bo zmuszają świadków katolickich, by składali przysięgę przed popem, a następnie całować mogą krzyż swój, tj. katolicki, tłómacząc im przy tem, że to jeden Pan Bóg. Czas już, abyśmy chcieli bronić praw naszych i w sądach, praw, jakie zresztą ukazem są przyznane.

Hrabia ordynat Zamoyski kosztem pół miliona rubli wybudował w Tomaszowie lubelskim koszary dla kozaków, w najwidoczniejszym celu

przypodobania się rządowi, gdyż koszary nie dają żadnego dochodu, kozacy bowiem robią tak wielkie szkody, że coroczna restauracya pochłania niewielki czynsz dzierżawny. Budowa tych koszar jest właściwie dziełem wszechwładnego zarządcy ordynacyi, Kubickiego, który swem służalczem postępowaniem względem rządu przynosi ujmę swemu pracodawcy, ordynatowi Zamoyskiemu, dziedzicowi największej fortuny w Królestwie. Jak dalece zapomina się ów pan Kubicki, niech świadczy fakt, że największemu wrogowi katolicyzmu, znanemu łotrowi, popu Traczowi ze Szczebrzeszyna, znienawidzonemu przez włościan, dał bezpłatnie za kilka tysięcy rubli materyału na budowę plebanii przy cerkwi (dawnym kościele katolickim). Kubicki, nie dbając nieraz o potrzeby kościołów katolickich, daje chętnie rozmaite materyały na reperacyę cerkwi, budowę wstrętnych szkół cerkiewnych, a ohydny klasztor prawosławny w Radecznicy tak szczodrze wyposażył, że wybudowali tam szkołę i schronisko dla niemowląt, jakie mniszki zbierają po wsiach, by powiększyć zastęp prawosławia, powiększyli również klasztor i odnowili cerkiew.

Niedawno odbyło się tam poświęcenie powyższych budowli, o czem postaram się wkrótce donieść, bo to ciekawe. Takie obdarowywanie cerkwi wpływa ujemnie na ludność tutejszą, od której nieraz żądając jakichś usług, popi Zarząd ordynacyi stawiają za przykład.

Jak przeto należy nazwać Kubickiego, jeżeli ten pan w czasie dni galowych zmusza swych podwładnych urzędników do udawania się do kościoła dla wysłuchania modłów za cara. Pan Kubicki wyraźnie wypowiada się, że nie zniósłby urzędnika, gdyby dowiedział się, że ten zajmuje się oświatą ludu! Zapewne też w krótkim czasie dowiemy się, iż pan Kubicki otrzymał za swą gorliwość jaki order lub inne odznaczenie od cara.

W powiecie Zamoyskim brak jest gimnazyum, ale wszelkie starania miejscowych obywateli spełzły na niczem, nie znaleźli bowiem poparcia ze strony hr. Ordynata, który płaci corocznie na korpus kadecki w Moskwie sześć tysięcy rubli, jaką to sumę w statucie przeznaczono na rzecz zniesionej szkoły w Szczebrzeszynie.

Lubelskie, pod względem uświadomienia narodowego przedstawia się nie osobliwie. Arystokracya sprzyja polityce ugodowej, — od ludu trzyma się zdaleka, dla ludu literalnie nic nie robi, drży na samą myśl oświaty ludowej. Inteligencya po wsiach, a zwłaszcza po miastach przedstawia się nieco lepiej, coraz bardziej przychodzi do uświadomienia narodowego i coraz więcej myśli o uświadomieniu ludu, a przez to o stworzeniu pożądanej siły. Najniżej może pod tym względem tu stoi duchowieństwo. Starsze wiekiem, jest zimne, obojętne, bojaźliwe, uległe we wszystkiem moskwie, stąd niepowetowane szkody przynosi dla Kościoła i narodu, zwłaszcza na Rusi. Wśród młodszego duchowieństwa można znaleść jednostki gorące, pełne poświęcenia dla Kościoła i narodu, nieszczędzące grosza własnego na oświatę ludu, ale kontrolowane przez swoich zwierzchników nie może wiele zdziałać.

Rząd moskiewski, dążąc do sprawosławienia nietylko byłych unitów, ale nawet katolików, kasuje krzyże przydrożne katolickie, a gdzie

tylko może pcha swoje. W wioskach z mieszaną ludnością naczelnicy powiatu nie pozwalają zupełnie (mieszkańcy radzą sobie i stawiają w nocy), w wioskach czysto katolickich pozwalają z trudnością na postawienie krzyża na miejsce starego, zastrzegają jednak od jakiegoś czasu aby, broń Boże, na krzyżu nie było jakiego napisu polskiego i pasyjki Pana Jezusa. Warunek ten jest tak przestrzegany, że gdy w jednej wiosce zamojskiego powiatu, włościanie nie mogąc tego zastrzeżenia naczelnika zrozumieć, postanowili pasyjkę Pana Jezusa przybić, naczelnik wysłał dwóch strażników, aby postawienia krzyża nie dopuścili. W innej wiosce ta sama historya się powtórzyła. Mieszkańcy poradzili sobie w ten sposób, że postawili krzyż, a pasyjkę nieco później przybili w nocy.

BIŁGORAJ.

(**Uwaga.** Korespondencya, jaką otrzymaliśmy z tej miejscowości, tak czarnemi barwami maluje tamtejszych konfratrów, że bez obrażenia uszów niepodobna jej tu inaczej jak w skróceniu zaledwie zamieścić).

Konfratrzy tutejsi są więcej katoliccy (a przynajmniej takimi byli przed rokiem), niż sam papież — chcą oni mieć swe owieczki absolutnie katolickiemi, chcą, by one nie miały nic wspólnego nietylko ze schyzmą, ale i z unią!! To też taki ks. Andrzej Burdzicki z bezczelną pilnością szpera po aktach, by znaleść kogoś chrzczonego w cerkwi unickiej — a gdy znajdzie, natychmiast akta całej rodziny odsyła do cerkwi, czem znudził już nawet okolicznych popów. Przed niedawnymi czasy pop z Majdanu Księżepolskiego Rzepowski został oskarżony, że pomaga wyrabiać się byłym unitom na katolików. Szanowny ks. Burdzicki, nie proszony i nie pytany, dostarczył dowodów do tego oskarżenia tak kompromitujących, że tylko dzięki nim biednego popa wysłali do monastyru na daleką północ.

Nielepszym od Burdzickiego jest ks. Jan Włodzyński z Szukowej, pozostali zaś proboszcze, jeżeli nie są w guście Burdzickiego, to znów absolutną biernością podrywają u korzeni wiarę!

Tak księża, jak i inteligencya świecka dalekimi są od pracy narodowej. To też wobec takich stosunków nic dziwnego, że lud ten bardzo ciemny, znaczna większość w powiecie nie umie czytać na książkach do nabożeństwa, a listy do rodaków w wojsku przeważnie pisują po rosyjsku. Odnośnie do religii lud tutejszy jest bardzo obojętny; zdarza się n. p. że chłop katolicki chodzi do cerkwi, bo mu bliżej, bo mówią nawet że „u Rusinów i Polaków Bóg jeden“ więc wszystko jedno czy iść do kościoła czy do cerkwi. Do rozszerzania takich pojęć w pierwszym rzędzie przyczyniają się szkółki cerkiewne. Przyznać muszę, że chłop tutejszy jest bardzo podatny do oświaty, podatniejszy nawet niż na Mazowszu: należy tylko wziąć się do pracy, a ręczę, że kilka osób pracujących szczerze, nawet w obecnych warunkach sprawiłoby, że za lat dziesięć powiat Biłgorajski zmieniłby się nie do poznania.



